Praca niniejsza nie jest ani biografią, ani charakterystyką roli dziejowej Józefa Piłsudskiego. Danem mi było spotykać się i pracować z Nim na przestrzeni czterech wieków w rozmaitych momentach i okolicznościach. Pragnę przeto dorzucić do skarbcy wiedzy o trudzie Jego powołańca garść szczegółów, które w przyszłości do uwygolenia pojedynczych rysów Jego charakteru i wyjaśnienia Jego poglądów. Podawany przeze mnie w porządku chronologicznym materiał opiera się wyłącznie na wrażeniach i wspomnieniach osobistych, jak również na dokumentach, posiadających tenże osobisty charakter. Listy do mnie, przez Józefa Piłsudskiego pisane, a nigdzie dotąd nie drukowane, podaję nie extenso.

L. W.

Warszawa, 19 maja 1935 r.
TOWARZYSZ „WIKTOR”
Prasa rosyjska pisała wprawdzie coś niecoś o samym kongresie, ale o rezolucji polskiej nie wspomniała ani słowkiem. To też wielka była moja radość, kiedy w restauracji „Dominique’a” znalazłem „Kölnische Zeitung”, która podawała dość dokładne sprawozdania z obrad kongresu londyńskiego. Z tego dziennika dowiedziałem się też, że rezolucja polska, wprawdzie w formie zmienionej i niejako rozszerzonej, została przez kongres uchwalona. Wiadomość ta jakoś wymknęła się uwadze cenzury rosyjskiej, która obficie zasmarowywała farbą drukarską wszelkie drażliwe dla Rosji informacje prasy zagranicznej.

Jednakże „Kölnische Zeitung”, podając brzmienie uchwalonej w Londynie rezolucji, nie przynosząła najciekawszych dla mnie wyjaśnień, jakie okoliczności towarzyszyły uchwaleniu tej rezolucji, dlaczego została zmieniona, które z delegacji głosowały za nią, kto był jej przeciwny i t. d. To też z wielką przyjemnością przyjąłem zaproszenie studenta prawa – Kostka Demidowicza-Demideckiego, członka petersburskiej grupki P. P. S., na zebranie, na którym miał złożyć sprawozdanie z kongresu londyńskiego jego uczestnik, właśnie przybyły do Petersburga.

Zebranie odbyło się w mieszkaniu tegoż Kostka Demidowicza, zwanego w kolach towarzyszy żartobliwie „Czemodanem”. Poza gospodarzem i mną było obecnych kilku studentów wyższych zakładów naukowych oraz starszy od nas wszystkich człowiek o bardzo charakterystycznej powierzchności. Przywitał się ze mną, nie wymieniając swego nazwiska, co odrzuca wskazywało na to, że był działaczem partyjnym, zachowującym incognito ze względu konspiracyjnych. Ciemny szatyn o krótkiej bródce i gęstych, przykrywających usta, wąsach, o szarych, łagodnych oczach, dobroliwie uśmiechających się z pod krzaczastymi brwi, sprawiał ujmujące wrażenie.

Tylko ja go widziałem po raz pierwszy, resztę obecnych znał już widocznie, a stosunek, z jakim go traktowali, świadczył o wielkim dlań szacunku.

Sprawozdanie z kongresu, utrzymane w tonie nieprzynuszonej pogadanki, przeplatanej pytania mi zebranych towarzyszy, nie przyniosło mnie osobiście prawie nic nowego, poza tem, o czem już wiedziałem z „Kölnische Zeitung”. Sprawozdawca bowiem prawie nie dotknął zakulisowych perypetii rezolucji, o których dowiedziałem się
zczasem, już zagranicą, ale widać było, że przyjęcie rezolucji w tej formie, w jakiej została uchwalona, nie uważał za zwycięstwo delegacji polskiej.

W jego sprawozdaniu i, zwłaszcza, w odpowiedziach, dawanych na zapytania obecnych, zastanowił mię sposób, w jaki ich traktował. Pomimo naturalności stosunku do zebranych jako do towarzyszy partyjnych, pomimo serdecznej atmosfery, panującej na zebraniu, odczuwano się pewien dystans, leżący między nim a zebranymi, wynikający ze stosunku przywódcy do podkomendnych, którzy z głębokiego przekonania uznał jego wyższość nad sobą, skąd jawna wola podporządkowania się jego przewodze, którejby zapewne nie nadużywał, ale którą umiałby wyzyskać w potrzebie.

Po skończeniu zebraniu rozeszliśmy się wszyscy z wyjątkiem sprawozdawcy londyńskiego, który widocznie miał pozostać na noc u Demidowica. Ten ostatni, wyszedłzy razem ze mną i odprowadzając mnie do domu, udzielił mi paru informacji o swym tajemniczym gościu. Dowieziónąm się więc, że nosi pseudonim – „Wiktor”, że jest „nielegalnym” i że, jako taki, pędzi „straszne życie”, nie posiadając ani własnego domu,

ani stałego nazwiska, ustawicznie wystawiony na niebezpieczeństwo „wsypo” ze wszystkimi jej tragicznymi konsekwencjami. Przyjeżdżał od czasu do czasu do Petersburga, przywożąc „Robotnika” i wszelką „bibułę”, utrzymywał stały stosunek z petersburską organizacją P. P. S. i odbierał od niej przeznaczone na cele partyjne pieniądze. Cieszył się bezwzględnym zaufaniem i uważany był za autorytet.

Wkrótce potem opuściłem Petersburg i przez Warszawę, Kraków, Pragę, Wiedeń i Monachium przyjechałem późną jesienią 1896 r. do Zurychu. Tam zbiżyłem się z paru studentami, jak się później okazało, członkami miejscowej sekcji „Związku Zagranicznego Socjalistów Polskich” (Z. Z. S. P.). Najstarszy z nich, Bolesław Miklaszewski (później jeden z pierwszych ministrów oświaty w Polsce niepodległej), z którym nadjrzej się zaprzyjaźniłem, opowiadał mi o swym pobycie w Londynie podczas międzynarodowego kongresu socjalistycznego i „krajowcu” – „Wiktorze”, który tam wówczas przebywał i z którym odbywał dłuższe przechadzki po bezkresnych obszarach wiecznie zamglonej stolicy Anglii. Mówił o „Wiktorze”, jako o jednostce wybitnej i
wpływowej w partii, z wielkiem uznaniem i nie-
tajoną sympatią.

Byłem już wówczas współpracownikiem lon-
dyńskiego „Przedświtu”, organu Związku Zagra-
nicznego Socjalistów Polskich, jakkolwiek for-
malnie jeszcze do tego ostatniego nie należałem.
W Londynie zainteresowano się moją osobą i
Centralizacja Z. Z. S. P. zwróciła się do organi-
zacji krajowej P. P. S. o informacje o mnie.
W odpowiedzi na to przyszł list, pisany w koń-
cu grudnia 1896 r., przez towarzysza „Wiktoru”,
który w ten sposób mię scharakteryzował: „Py-
tacie o autorze słowańszczyzny (mój pierwszy ar-
tykul w „Przedświtie” miał tytuł „Nasze zadania
wobec prądów moskalofilskich wśród słowian”).
Słyszałem o nim dosyć wiele od różnych osób,
sam się z nim widziałem bardzo krótko. Facet po-
rządny i pewny. Ma zamiary osiedlić się zczasem
w Poznańskim i tam pracować dla nas. Teraz
utrzymuje stosunki ze wszystkimi djabłami na
świecie i nie występuje wyraźnie jako nasz, dla-
tego, że okresłona marka ma mu przeszkadzać
w stosunkach z różnemi obozami, które on teraz
chce wystudjować. Tak mi o nim mówili jego
 najbliżsi przyjaciele (nasi chłopcy). Zarabia lite-

raturą: pisuje w miesięcznikach rosyjskich. Oso-
bieście mnie się wydał sympatycznym i inteli-
genentnym chłopakiem.”

W tymże Zurychu, ale już w przeszło roku póź-
niej, miałem się spotkać poraz drugi z towarzys-
szem „Wiktorem” – a to w następujących oko-
licznościach.

Podczas świąt Bożego Narodzenia r. 1897 miał
się odbyć w Zurychu w związku z dorocznym
zjazdem „Zjednoczenia polskich towarzystw młó-
dzieży zagranicą” tajny zjazd Z. Z. S. P. Na ten
ostatni zostałem wydelegowany przez sekcję wie-
deńską Z. Z. S. P., w której wówczas, przebywa-
jąc w Wiedniu, pracowałem. Byłem nietylko de-
legatem, ale również kandydatem „opozycji” Z. Z.
S. P. na stanowisko redaktora „Przedświtu” i
członka Centralizacji Z. Z. S. P. W poprzed-
nich bowiem miesiącach, wciągnięty w Zu-
rychu do organizacji Z. Z. S. P., dałem się
już poznać szerszemu gronu towarzyszy jako pu-
licysta. A moja praca w sekcji wiedeńskiej Z. Z.
S. P., którą pchnąłem na nowe tory, zjednała mi
uznanie również i Centralizacji londyńskiej. W ten
sposób moja kandydatura nabrała znaczenia realnego.

Opozycja Z. Z. S. P. powstała nie na tle jakichś różnic programowych, czy taktycznych, lecz z pragnienia, aby nowi ludzie, wprowadzeni do Centralizacji i redakcji „Przedświtu”, usunęli te braki i niedomagania, które trąpiły ogół członków Z. Z. S. P., a które przypisywano niedolęstwu, czy nawet zlej woli poszczególnych członków Centralizacji. Chodziło przedewszystkiem o to, aby „Przedświt” wychodził regularnie, co wymagało stałego pobytu w Londynie jego redaktora. Tymczasem ten ostatni w osobie dra Witolda Jodki po paru miesiącach siedzenia w Londynie wyjeżdżał na kontynent, pozostawiając redagowany przez siebie organ na opiecie „londyńczyków”, którzy nie mogli sobie dać z nim rady – i to nie tylko z powodu nieobecności redaktora, zaś odpowiedzialnego, ale i ze względów finansowych. Stąd niechęć „opozycji” wobec Jodki, który potem swemi hulankami z młodzieżą budził zastrzeżenia charakteru etycznego. Do tego dołączyły się osobiste zdrażnienia i nieporozumienia między samymi „londyńczykami” – i w rezultacie „opozycja” na zjeździe zuryjskim uzyskała prze-

wagę paru głosów, co pozwoliło jej zapanować nad sytuacją i przeprowadzić wszystkie swoje zamierzenia.

S. P. i „Przedświtu” dotychczasowych doświadczeń, do których „kraj” ma zaufanie i zastępującymi ich nowemi, młodemi, jeszcze nie wypróbowanemi siłami.

Towarzysz „Wiktory” godził się na częściowe reformy, ale nie na radykalne „cięcie cesarskie”. Jego argumenty zwracały się głównie przeciwko mnie, jako temu, który nie przeszedł był szkołą roboty krajowej”.

Drugie z naszych kandydatów do Centralizacji - Władysław Studnicki, był bardziej „mangeable” dla „kraju” jako dawny działacz i zesłaniec, i był pewne pewne plany co do niego: miano mu zaproponować wejście do roboty krajowej. Pozatem usunęcie ze stanowiska sekretarza Centralizacji - Bolesława Antoniego Jędrzejowskiego („Baja”), co było nieuniknione przy zwycięstwie opozycji” (gdyż tylko w tym wypadku mógłby objąć redakcję „Przedświtu”, gdybym równocześnie zajął stanowisko sekretarza Centralizacji (jedynie stanowisko płatne), towarzysz „Wiktory” wskazywał jako oburzającą niesprawiedliwość.

Pod wpływem rozmów z towarzyszem „Wiktorem” poszczególni przedstawiciele „opozycji” zaczęli się już chwiać, ale ogólna niechęć do Jodki i popierającej go części „londyńczyków” była tak głęboka, a wiara w to, że „nowi ludzie” spełnią pomyślnie włożone na nich zadania, tak silna, że się ostatecznie oparli wszelkim namowom przedstawiciela „kraju”. Wówczas towarzysz „Wiktory” zwrócił się bezpośrednio do mnie. Głównym jego argumentem było:

– Nie poddajcie pracy...

Istotnie, przenosząc się do Londynu, musiałbym sam spełniać te funkcje, które dotychczas były spełniane przez trzy osoby: Jodkę, Jędrzejowskiego i Feliksa Perła. W dodatku nie posiadałem ani wyrobienia, ani doświadczenia żadnego z nich, nie znałem zupełnie Londynu, a zającę redaktora, sekretarza, administratora i ekspedjenta napewno by mi zajęło tyle czasu i pochłonęło tyle sił, że musiałbym się liczyć z zupełną utratą dotychczasowych zarobków literackich. Jedynym moim argumentem było, że będziemy pracowali we dwoje – z żoną, którą towarzysz „Wiktory” znalazł i celował jako członkinię petersburskiej grupy P. P. S.

Jakkolwiek widocznym było, że towarzysz „Wiktory” z grożącego Związkowi „przewrotu” był ogromnie niezadowolony, to jednak poza argument-

I „opozycja” przeprowadziła wszystko, co chciała, zmieniając skład Centralizacji i przekazując mnie redakcję „Przedświtu” wraz z sekretarzem Centralizacji. Towarzysz „Wiktor” nie ukrywał swego niezadowolenia z tych zmian, zapowiadając, że zreferuje wszystko Centralnemu Komitetowi Robotniczemu (C. K. R.), i dając tem nam niejako do poznania, że „kraj” niewiadomo jeszcze jak ustośunek je do nowej sytuacji.

Po skończonym zjeździe, który odbywał się w jednej z restauracji zuryjskich, w osobnym pokoju, towarzysz „Wiktor” rzekł głośno do Jodki w tonie żartobliwym, jakkolwiek nieco cierpek:

- Chodź, założymy sobie teraz „koronę piwną”...

A trzeba wiedzieć, że argument „korony piwnej” odgrywał niepośrednią rolę w wystąpieniach poszczególnych członków zjazdu przeciwko Jodce i jego potępianym praktykom burszowskim.

Kiedyem po zjeździe omawiał z towarzyszem „Wiktorem” sprawę „Przedświtu” i zapewniał go, że nam nie chodzi o żadne radykalne reformy czy zmiany, tylko o regularne jego wychodzenie, powiedział mi dość sucho:

- To bardzo dobrze... i tem zamknął rozmowę.

W parę dni później uczestnicy zjazdu Z. Z. S. P. (poza delegatami zuryjskimi) rozjechali się. Pożegnałem się z towarzyszem „Wiktorem”, który wracał do kraju, na ulicy. Kiedyem go obejmował, całując (był to zwyczaj utarty, gdyż, żegnając takiego „krajowca”, nigdy nie miało się pewności, że się go kiedykolwiek w życiu jeszcze zobaczy), zrzuciłem mu niechcąc z głowy melonik, z czego było dużo śmiechu.

W początkach stycznia 1898 r. osiadłem na długich pięć lat w Londynie - i tam znów miałem spotkać się z towarzyszem „Wiktorem”, którego
L. Wasilewski: Józef Piłsudski jakim Go znalez

nazwiska dotychczas nie znalez. Nazwiska tego
nikt ze znających je w Londynie nie wymawiał
nawet wobec najbardziej zaufanych osób, bo tak
nakazywała podstawowa zasada konspiracji: dzia-
łacz rewolucyjny ma wiedzieć tylko to, co mu
jest koniecznie potrzebne. Niemniej jednak do-
wiedziałem się, a raczej domyśliłem się tego na-
zwiska, przeglądając prospekt nowego pisma par-
tyjnego, popularno-naukowego „Światła”, założo-
egnego przez P. P. S., a redagowanego przez B. A.
Jędrzejowskiego. Powierzenie redakcji tego pisma
„Bajowi” było niejako rekompensatą „kraju” za
krzywdę, jaka go była spotkała na zjeździe zury-
skim, gdyż do tego pisma była przywiązana pen-
sja, zastępująca Jędrzejowskiemu odebraną mu
pensję sekretarza Z. Z. S. P. Otóż, w prospekcie
„Światła” Jędrzejowski wydrukował między inne-
mi nazwiskami współpracowników również nazwi-
sko Stanisława Wojciechowskiego i Józefa Piłsud-
skiego — jedynie, nie należące do emigrantów, a
więc „krajowców” nielegalnych. Ponieważ zaś
wiedziałem skądinąd, że towarzysz „Wiktor” na-
pewno nie był Wojciechowskim, więc z łatwością
wykombinowałem, że się nazywa — Józef Piłsud-
ski. Zadowolony ze swego odkrycia, zakomuniko-
wałem je kiedyś mimochodem w sposób samo-
chwalczy Jędrzejowskiemu, który bardzo był zgors-
szony moją domyślnością i nawet uznał moje po-
stępowanie za wysoce niezlojalne. Taka to w o-
wych czasach była konspiracja.

Na początku lipca 1898 r. towarzysz „Wiktor”,
oddawna zapowiadamy w listach z „kraju”, przy-
był do Londynu w związku z wykradzeniem przez
pps-owców petersburskich tajnego memoriału
general-gubernatora Imeretyńskiego. Zamieszkał u
Baja-Jędrzejowskiego (119 Stepney Green Dwel-
lings, Stepney, London E), skąd przychodził na
7 Beaumont Square Mile End Road, London E.,
gdzie się podówczas mieścił lokal Centralizacji
Z. Z. S. P. wraz z drukarnią i redakcją „Przed-
świtu”.

Echa zjazdu zuryckiego i związanych z tem za-
drążnień wewnętrznych były jeszcze bardzo ży-
we. Stosunki między nową Centralizacją, a raczej
między jej londyńską części (t. j. mną, Studnic-
kim i Aleksandrem Dębskim) a Jędrzejowskim,
a zwłaszcza Jodką, który osiadł na jakiś czas
w Bernie zwajcarskim, nie były normalne. Usu-
nięci przez „opozycję” starzy działacze nie szczę-
dzili wobec „krajowców” skarg na nowe rzędy
L. Wasilewski: Józef Piłsudski jakim Go znalem


1898 Towarzysz „Wiktor”

Autorytet towarzysza „Wiktora”, jako reprezentanta „kraju”, dla którego miało się bezgraniczne oddanie, był tak wielki, że wysłuchałem tej reprimandy jako słusznej „kary” za popełniony błąd i wyjaśnienie wszystkie okoliczności mimo wolnej winy bez ogródek. Ale ta scena i obraz tupiącego nogą towarzysza „Wiktora” nazwawsze pozostały mi w pamięci, tem bardziej, że nigdy już później nie widziałem go w takiej pasji. Wyłumaczyłem ją sobie jako „rewanż za Zurych” i przeszedłem nad nią do porządku dziennego.

Podczas owego parutygadowego pobytu towarzysza „Wiktora” w Londynie spotykałem się z nim kilka razy. Będąc kiedyś na Beaumoncie, złożył mnie i mojej żonie niejako oficjalną wizytę i siedział u nas około godziny, wesoło opowiadając rozmaitce rzeczy na tle stosunków krajowych. Mówił między innym, że nigdy nie nosi przy sobie broni, bo – w razie aresztowania – napewnoby jej nie użył. Mówił też, że jest zanadto leniwy na to, aby porządnie zasyfrowywać notatki konspiracyjne, wobec czego często jest w kłopotie, bo ich nie może odczyfać.. Podczas tej pogadanki był usposobiony wesoło, a śmiał się tak serdecznie i głośno, że słyszać go było w całym domu.
zajmowanym przez nas, państwo Dębskich i drukarnię.

Przed samym już wyjazdem zaprosił mnie do Jędrzejowskiego na kolację, połączoną z małą bibką, na której, gawędziąc, przesiedzieliśmy aż do świtu. Oprócz mnie był tam jeszcze Kazimierz Rożnowski, który przyjechał do Londynu, aby się nauczyć zecerki i potem pojechać do kraju w charakterze nielegalnego zecera w drukarni „Robotnika”. Było to coś w rodzaju próby pogodzenia mnie osobiście z „Bajem”, z którym utrzymywałam stosunki oficjalne jako z członkiem „Komisji Konspiracyjnej”, na ręce którego nadchodziły listy z „kraju”, komunikowane mi w dotyczących mnie wyjątkach. Próba ta narazie nie dała wyników: obopólnie niechęci, związane ze zjazdem zuryjskim, były jeszcze za silne, choć ja osobiście, rozejrzałby się dokładnie w stosunkach, panujących w Londynie, gruntownie zmieniłem swoją opinię o „Baju”, narzuconą mi przez starszych zwolenników „opozycji”. „Baj”, który miał bardzo słabą głowę, wstąpił się i – zwyczajem swym – począł pleść głupstwa, których słuchałem z niesmakiem. Sytuację łagodził towarzysz „Wiktor”, który rano zaproponował mnie i Rożnowskiemu prze-

1898 Towarzysze „Wiktor”

chodzię do niezbyt daleko położonego parku Victoria. Ogładaliśmy tam wspólnie śliczne ilanie, którym towarzyszy „Wiktor” przyglądał się z pewnem rozrzednieniem.

Wkrótce potem, na początku sierpnia 1898 r., towarzysz „Wiktor” opuścił Londyn i pojechał do „kraju”, jąskęmy wówczas nazywali zabór rosyjski.

Stosunki Z. Z. S. P. z „krajem” stopniowo normowały się. Dębscy wyjechali do Ameryki, myśmy się zbliżyli z Jędrzejowskimi i ja, przekonaw- szysię ostatecznie, jak niepospolitej wartości człowiekiem i działaczem był „Baj”, który wszystko poświęcił dla ruchu, nic dla siebie wzamian nie żądając, nietyk sam zmieniłem opinię o nim, ale przekonałem wszystkich zwolenników dawnej „opozycji”, żeśmy mu wyrządzili w Zurychu dotkliwą krzywdę. W ten sposób zatarte zostały powoli ślad dawnych zdrażnień i w stosunkach londyńskiego stopniowo zapanowała harmonia. Jednocześnie i stosunek mój z „krajem” wyrównał się zupełnie. Moja wytrwała praca, której przyglądało się przyjeżdżający do Londynu „krajowcy”, znajdowała uznanie. Jedko również przebołał do pewnego stopnia despekt, jaki go był spot-
kał w Zurychu, więc i z tej strony był spokój.

O działalności tow. „Wiktora” dochodziły nas ścieśle zakonspirowane wieści z kraju – w listach, otrzymywanych przez „Baja”.

Na początku kwietnia 1899 r. towarzysz „Wiktor” znowu przyjechał do Londynu. Był u nas wraz z towarzyszem Kazimierzem Krauzem (Michałem Luśnią), paryskim członkiem Centralizacji Z. Z. S. P. Obydwaj przyglądali się z ciekawością mojej kilkunastodniowej córeczce, którą Krauz brał, spowitą w poduszce, na ręce i huśtał ku wielkiej zdziwieniu towarzysza „Wiktora”. Ten bowiem mówił, że za żadne skarby nie wziąłby takiego małego dziecka na ręce w obawie, że się natychmiast „polamie”.

Podczas owego kwietniowego pobytu w Londynie tow. „Wiktor”, jak zwykle, mieszkał u „Baja” i od czasu do czasu przychodził na Beaumont Square, gdzie się mieściły drukarnia i składy wydawnictw Z. Z. S. P. oraz gdzieśmy mieszkali. Spotykałem się więc z nim i tu i tam. Przed swym przyjazdem do Londynu był w Petersburgu i opowiadawał z wielkim oburzeniem o małoduszności petersburskiej kolonii w stosunku do Erazma Piltza, ówczesnego redaktora ugodowego tygodniki petersburskiego „Kraj”. Chodziło o jakąś imprezę dobroczynną i o stojący na jej czele komitet, do którego miał wejść również Piltz. Radykalna młodzież petersburska zakwestionowała tę kandydaturę ze względów politycznych, i już miano Piltza pominać. Kiedy jednak ten ostatni zjawił się na decydującym zebraniu i wręcz oświadczył, że, o ile się go nie chce mieć w komitecie, ustąpi dobrowolnie; wówczas większość oświadczyła, że nikt nic przeciwko Piltzowi nie ma, i w ten sposób pozostał on w Komitecie.

W rozmowach, potrącających o tematy, związane z robotą partyjną w kraju, często wspominało się o stosunkach żydowskich. Tow. „Wiktor” chętnie o tem mówił, zwłaszcza, że chodziło tu przedewszystkiem o agitację wśród Żydów na Litwie – w Wilnie, Mśniej i t. d. P. P. S. posiadała wówczas dość poważne stosunki wśród proletarjatu żydowskiego w Warszawie i w Białymstoku, gdzie inteligentniejsi robotnicy chętnie garnęli się do ruchu polskiego, żądając tylko wydawnictw żargonowych, które P. P. S. otrzymywała z Ameryki, zanim przystąpiła do wytworzenia własnej literatury agitacyjnej w żargonie. Natomiast w ośrodkach Litwy (historycznej) wśród
proletarjatu żydowskiego rej wodziła inteligencja żydowska, zupełnie zrusyfikowana kulturalnie i, skutkiem tego, wywierająca wpływ rusyfikatorski i na proletarjat żydowski. Tow. „Wiktor” prowadził na gruncie wileńskim gorące dyskusje z miejscowymi przedstawicielami żydowskiego ruchu socjalistycznego – przyszłymi kierownikami „Bundu” – na temat programu niepodległości, kwestji narodowościowej, stosunku do Rosji i t. d. Musiał występować dość ostro, bo, jak sam mówił, przyglądało doń w opinii żydowskiej określenie – „izwiastyjny arrogant”, a niektóre z jego powiedzeń odbiły się nawet w literaturze agitacyjnej „bundowców”. Tak np. jego twierdzenie, że nas stosunki rosyjskie obchodzą w tej samej mierze (pinka a zoj), co australijskie, było cytowane na dowód skrajnego szowinizmu P. P. S.

Na tle tych stosunków z „żydkami” litewskimi, których traktował żartobliwie, choć bez cienia antysemityzmu, opowiadał rozmaite anegdotki, z których jedną zapamiętał. Oto – podniesieni dyskusjami na temat spraw narodowościowych – „żydki” udali się do pewnego swojego „rabina” socjalistycznego, mieszkającego gdzieś w Szkowie czy w Pińsku, z żądaniem, aby ten nareszcie okre-
rjodycznie powtarzające się na uniwersytetach rosyjskich. Tym razem przybrały one rozmiary większe niż zwykle i sprowadziły surowe repre-
sję władz. Między innymi wydalono i wysłano do miejsc stałego zamieszkania wielką liczbę relego-
wanych studentów. Echa tych wypadków obiły się i o Warszawę, gdzie radykalniej usposobiona młodzież polska stanęła na stanowisku koniecz-
ności poparcia ruchu studentów rosyjskich, gdy czynniki umiarkowane i reakcyjne były temu prze-
ciwne. Ponieważ „Prędśćwit” musiał w tej spra-
wie zabrać głos, reprezentujący zasadnicze stano-
wisko Partii, a zdania w łonie Centralizacji były podzielone*), przeto zwróciłem się o rozstrzygnię-
cie kwestji do C. K. R., żądając od niego instruk-
cyj.

W odpowiedzi na moją interpelację otrzyma-
łem list towarzysza „Wiktora” z 14 maja 1899, który przynosił następujące uwagi:

*) Wł. Studnicki (Veto) w sposób sobie właściwy sformułował wydrukowane w „Prędståwie” „votum separatum”, wypowia-
dające się bardzo ostro przeciwno udziałowi studentów Polak-
ków w tym ruchu.
„Kochany Towarzyszu! Pytacie o zdanie nasze w sprawie studenckiej. Niestety, zda- nie to nie jest zupełnie jednolite i sądzę, byłoby najlepiej w sprawie tej być najwięcej objętymym – „s odnej strony nielzia nie soznat'sia, s drugoj nielzia nie priznat'sia”, jest to dla nas tem łatwiejszem, że przecież nie jest to u nas sprawą wewnętrzną – chwi- lowo tylko wdarla się ona do nas w czasie rozruchów warszawskich – dotychczas zaś jest ona przeważnie sprawą rosyjską, o któ- rej można spokojnie mówić. Otóż jako spra- wa rosyjska, ma ona, naturalnie, dodatnie znaczenie dla Rosji, bezwątpienia studenci w Rosji, jak i wogóle wszędzie, nie są oporą pewną dla żadnego ruchu rewolucyjnego, lecz wystąpienie ich musiało oddziałać rewolu- cyjnie na społeczeństwo rosyjskie – raczej opozycyjnie, nie rewolucyjnie. Następnie, rozsypanie takiej masy ludzi, znajdujących się w stanie podnieconym, zaagitowanych przeciw rządowi, musi też mieć wpływ na prowincję rosyjską. I bezwątpienia, gdyby w Rosji istniała jakakolwiek wybitniejsza or- ganizacja rewolucyjna, mogłaby ona znako-
sany do mnie z kraju 19 listopada, był wywołany
następnymi okolicznościami:

P. P. S. w swej działalności stykała się coraz
bardziej z przedstawicielami ruchów socjalistycz-
nych narodowości sąsiednich – Litwinów, Łoty-
szów i t. d. Stąd dąźność do szerzenia wśród
ich tendencji separatystycznych wobec Rosji.
Ponieważ zajmowałem się już wówczas bardzo
żywo sprawami narodowościowemi i pisywałem
o nich tak w prasie legalnej, jak i w „Przedświ-
cie”, przeto powstał projekt wydania specjalnej
broszury „We wspólnem jarzmie”, której ułożenie
mień polecono. Napisalem ją i skrypt wysłałem do
kraju do aprobaty. W odpowiedzi na to otrzyma-
łem obszerny list towarzysza „Wiktora”, który
tu podaje w całości ze względu na jego bardzo
ciekawą i charakterystyczną treść. Zawiera on
bowiem kwintesencję poglądów ówczesnych towar-
zysza „Wiktora” na kwestie narodowościowe
w państwie rosyjskim – poglądów, które (zwa-
szcza w stosunku do Litwy historycznej) odegrały
wybitną rolę w późniejszej działalności Józefa Pił-
sudskiego.

List ten brzmi:

Drogi Towarzyszu! Dzisiaj dopiero mogę

Wam zakomunikować zdanie nasze o napi-
sanej przez Was broszurze „We wspólnem
jarzmie”. Dotychczas nie mogliśmy się zdobyc
być na jej przeczytanie i naradzenie się z po-
wodu tego wydawnictwa. O wstępie jużem
pisał i, jak mi donosi tow. Edmund (Stani-
sław Wojciechowski, przebywający wówczas
czasowo w Londynie, – L. W.), macie go
przerobić. Niestety, zdaże się, obarczymy Was
pracą przerobienia i samej broszury. O ile
mnie się zdaje, braki broszury wynikły bowdoj
głównie, że temat i zakres jego opracowania
jest za szeroki, by go można było przystoso-
wać do broszury agitacyjnej. Ogólne wraże-
nie da się wyrazić słowami: „Za dużo ge-
ografii i statystyki, za mało agitacji i infor-
macji o stosunkach socjalnych oraz warunko-
ków (sic) w każdym z pojedyńczych naro-
dów”. Rozumiem dobrze, że, chcąc jeszcze
wsadzić w broszurę to, czego tam niema, trze-
babty było ją znacznie rozszerzyć, co zno-
wu jest niepodobieństwem ze względu na
jej przeznaczenie dla szerokiej bardzo kół
czytelników. Sądzę więc, że trzeba zrobić
mniejsze, usuwając rzeczy mniej potrzebne.
Za takie uważam: 1) cały prawie dział I „Narody i plemiona, ujarzmione przez Rosję” – poświęcony etnografii i geografii państwa rosyjskiego, można go skrócić do rozmiarów minimalnych i wcisnąć do wstępu. Nie mamy potrzeby w broszurze agitacyjnej szczegółowo opisywać skład etnograficzny nieledwie każdej gubernji Rosji, dosyć powiedzieć, że nawet wśród ludności rdzenia rosyjskiej istnieje cała masa ludów i szczepów – w przybliżeniu podać cyfrę ludności nierośykowej i zostawić określenie, że im dalej od Moskwy, tem tego więcej, lecz, jak to słusznie wykazaliście, mogą one tylko powiększać masową siłę reakcyjną caratu, a specjalnie zajmiemy się tylko temi narodami, które stanowią najbliższych naszych sojuszników, pominać więc trzeba w broszurze i 2) Ormian i Gruzinów, 3) Mołdowian. O Ormianach i Gruzinach narazie dosyć krótkiej wzmianki w zakończeniu broszury, gdzie parę słów można poświęcić i środkowej Azji. Zostałyby wówczas tylko następujące działy: 1) Litwa i Białoruś, 2) Małoruś, 3) Kraj Nadbałtycki i 4) Finlandja. Otóż (?) parę słów o każdym z tych działów. 1) Jak widzicie, łączyć tu Litwę i Białoruś w jeden dział, a to z powodów następujących. Jednakowość warunków prawno-administracyjnych i historycznych zmuszałoby nas do powtarzania się. Ta sama jednakowość panuje i w składzie etnograficznym, i stosunkach społecznych, naturalnie – wyjaśniam, że w jednym wypadku to jest litewskie, w drugim – białoruskie. Łączenie takie jest tem bardziej słuszne, że, mówiąc o Białejrusi, będzie się miało na widoku przede wszystkim i przeważnie jej części katolickie lub doniedawna unickie t. j. te części, na które poważnie liczyć w przyszłości możemy. Nareszcie poważnym powodem jest i ta okoliczność, że nasi przyjaciele z L. S. D. (Litewska Socjaldemokracja, – L. W.), jako główny argument przeciwko nam używają „podziału Litwy”, gotowi oni są raczej dać się zjeść w całości, niż żyć po dzieleni. Nawet wówczas, gdy, zdawało się, położymy kres ich istnieniu, chcieli oni prosić przy połączeniu, byśmy postarali się o zniesienie uchwaly P. P. S., rozgraniczającej Litwę i dzielącą ją na rdzenną i polsko-białoruską.
Tant mieux. Tamta uchwala P. P. S. była w tym celu wyniesiona, by odcenić brak zaborczości naszej i nadmiar warcholstwa L. S. D. Obecnie polemika nam nie jest potrzebną, gdyż jesteśmy na dobrej drodze wchłonięci L. S. D. Teraz przechodzę do tych wymagań, jakie mielibyśmy względem tego działu. a) Zaznaczyć i dowieść trzeba myśli, że z wielu względów Litwa to dalszy ciąg Polski, więc ogromny procent Polaków, język polski w miastach, wpływ duży kultury polskiej, słowem – Polacy są poważną składową częścią kraju, przyczynia się do tego wspólnej tradycji historycznej, udział w powstaniach, rewolucjach polskich i w ruchu socjalistycznym Litwinów-Polaków. b) Stan po 63 roku – zamknięcie masy szkół, wyrzucenie języka polskiego zewsąd, nawet z ulic, prawa wyjątkowe do języka litewskiego, ucisk polityczny i religijny, prawa co do kupna ziemi, co rujnuje stale kraj. Skutek – upadek kultury, oświaty i rozwoju ekonomicznego. Przy prześladowaniach zaznaczyć trzeba, że wszystkie prześladowania są skutkiem rewolucyjności polskiej części

ludności, która daje inicjatywę we wszystkich ruchach rewolucyjnych. c) Innej drogi Litwa niema, jak iść z nami razem i to najściślej razem, bo ruch rewolucyjni w Polsce dzięki współności kulturalnej zawsze znajdzie odbicie w Litwie, a wówczas wszelkie sprzeciwianie się temu ruchowi tylko osłabia go, natomiast przebrana ruchu pociąga za sobą tylko zwiększone ucisk, spadający i na tych, co mu się sprzeciwiali. d) Specjalnie o Litwinach – szwarcowanie bibuły, jakość bibuły t. j. stronictwa reakcyjne – katolickie, na nich zwalić rusofilstwo – przedstawiciele bogatych chłopów i wykluwającej się burżuazji litewskiej, radykalny ludowy słaby dotychczas, lecz zczasem mogący odegrać rolę – to nasi przyszli sojusznicy, nareszcie socjaliści, ruch robotniczy w Wilnie, Kownie i innych miastach, ruch z natury rzeczy przeźnaczony polski – powstał i rozwija się pod ogromnym wpływem ruchu polskiego, skąd bierze i literaturę, i wzory. e) O Białorusinach słów parę powiedzieć to dosyć – zaznaczyć niewyraźność ich uczuc narodowych, trochę o prześladowaniu ich języka i religii.
f) Zaznaczyć politykę rządu po 63 r., przeciwstawiającą Litwinów i wogóle chłopów Polakom i g) przyszłość – brak danych dla samodzielności, najlepsze urządzenie się z Polską z zabezpieczeniem każdej narodowości – Polakom, Litwinom, Białorusinom i Żydów – swobodnego rozwoju i usunięcia wszelkiej przewagi jednej narodowości nad drugą, co jest koniecznym wobec ogromnej gmatwania:ny stosunków narodowościowych. Takie zadanie muszą sobie stawić socjaliści wszystkich narodowości na Litwie, do tego też dąży i P. P. S. w swej pracy na terenie litewskim i sądzi, że koniecznym jest wobec tak poważnego wroga, który jak w prześladowaniach i prawach wyjątkowych, tak w każdej walce polskiej z caratem łączy Litwę z Polską, najściślesze połączenie sił socjalistycznych P. P. S. i socjalistów wszystkich narodowości Litwy dla wspólnej walki. Aha, jeszcze gdziekolwiek wstawić należy parę słów o burżuazji i szlachcie polskiej na Litwie, że przechodzi ona te same fazy, co i rdzenne polska, więc tak samo istniała era ugodowa. Oprócz tych wszystkich rzeczy zostawiać i tro-

*chę geografii ze statystyką i to, coście napisali o moskalofilstwie Litwinów. Słowem – dział ten ogromnie rozszerzyć trzeba, chociażby kosztem innych działów i wyrzucając względnie mało z tego, coście dali, dodać te wszystkie rzeczy, o których pisałem wyżej. Zostawić również trzeba ustęp, w którym mówicie o litwinofobii niektórych Polaków, to dobrze zrobi. 2) Malorus. W tym dziale mamy do zarzucenia rzeczy następujące. Za dużo jest historii literatury malorskiej – dość chyba, mówiąc o ukazach przeciwko literaturze, wspomnieć i o Tarasie Siewcz jak o jednym z objawów prześladowania kacapskiego. Zato kosztem literatury i nawet w części historii należałoby rozszerzyć gadańie i o Rusinach galicyjskich – względna ich swoboda i wytworzenie się tam partii socjalistycznej, będzie ona musiała oddziaływać na braci w zaborze rosyjskim. Wogóle w tym dziale zbyte szczegółowo opowiadacie o różnych kółkach i towarzystwach literackich i archellogicznych, co tylko będzie obciążało pamięć i utrudniało orjentowanie się czytelnikom, którym trzeba dawać więcej szema-

42
43
tów i agitacji, niż imion własnych. (Przychodzi mi właśnie na myśl, byście z tych różnich kawałków, niezużytych w broszurze, zrobił jaki artykuł do „Światła” — byłyby to kartki z dziejów Rosji nowożytnych). 3) Łotysze i Estończycy — sprawdzałem obecnie i rzeczywiście widzę, że mniej chyba powiedzieć nie można, niech tak zostaje. Co jest do zmienienia — to opowiadanie o historii początków literatury lotewskiej i estońskiej — te wieczne kółka ludzi, chcących pracować dla ludu, studia językowe i archeologiczne (powtarza się to i w Finlandii) doprawdy są mało rozczulające dla robota. Nareszcie 4) Finlandia, zamalo jest o teraźniejszej groźnej dla nich sytuacji i o walce, jaką oni prowadzą z Moskalami. Jak widzicie, główne zmiany wprowadzamy do Litwy i Białej Rusi. Ogół broszury przedstawiam sobie tak. Wstęp — wyjaśnienie polityki kresowej, jej znaczenie dla Rosji i caratu, jej skutki dla narodów podbitych. Następnie wszystkie wymienione działy i nareszcie zakończenie, w którym na zasadzie opowiedzanego uogólnić niektóre szczegóły — politykę rządu divide et impera, która wszędzie była stosowana, politykę demokratyzmu cesarskiego, również stosowaną wszędzie, przebudzanie się powszechne niezadowolenia i oporu. Potrzeba jej zjednoczenia i wyjaśnienie, że na Polaków przedwzrostkiem spada obowiązek zainicjowania tego ruchu, jako zarodek tego i zrozumienie tego zadania, przedstawić uchwały Zjazdu a) co do obcych narodowości i b) co do umowy z Rosjanami — ta jej część, w której żadamy od Rosjan uznania praw wszystkich narodowości. (Aha, w początkach zakończenia wspomnieć należy ogólnikowo o Ormianach, Gruzinach i Kaukazie). Nareszcie jeszcze kwestia — to Żydzi, najlepiej bodaj będzie zupełnie opuścić ich — sprawa to drażliwa i można ją załatwić w paru słowach i ogólnikowych dowodzeniach, do których trudno się przycześcić. Sądzmy, że najlepiej będzie wspomnieć o nich w dziele Litwa, wspomnieć w ten sposób, że są uciskani bodaj gorzej od wszystkich i tak samo, jak wszyscy uciskani, powinni szukać ratunku we wspólnie walce z chrześcijanami o swobodę kraju.

Przykro mi niezmiernie, że tyle waszej pra-
cy pójście na marne, szkoda, żeśmy w początkach sobie dokładnie nie uprztomnili naszych żądań i potrzeb. Rzecz się z konieczności raz jeszcze odwlecze, ale cóż robić, zresztą sprawta ta dotychczas dla nas palącą nie jest – wyjątki może Litwa i Żydzi – więc poczekać można. Już jest ogromnie późno i czuję się zmęczonym, więc wybaczcie, że być może cały list pisany jest trochę chaotycznie. Serdeczne uściśnienie, żonie uklony.

Wasz Wiktor

W myśl powyższych wskazówek przerobiłem broszurę „We wspólnem jarznie” i odesłałem ją do kraju do ostatecznej aprobaty C. K. R. Ale jakiś los zawistny widocznie przesładował to dziecko. Skrypt mój bowiem uległ katastrofie, będącej zresztą tylko drobną cząstką wielkiej katastrofy partyjnej, jaką stała się głośna „wsypa” łońskich drukarni „Robotnika” wraz z towarzyszem „Wiktorem”...

W końcu lutego 1900 r. do Londynu przybyli niespodziewanie Witold Jodko i Aleksander Sulikiewicz, przywożą straszną wiadomość o największym cioście, jaki wówczas spotkał Partię – o wykryciu przez żandameryję w Łodzi drukarni „Robotnika” i o aresztowaniu w niej towarzysza „Wiktora”. Wiadomość ta oddziałała na nas wszystkich w sposób przygnębiający, zdawaliśmy sobie bowiem sprawę, jak na dalszych losach P. P. S. może odbić się ta katastrofa. Strata drukarni, od tyłu lat bezskutecznie poszukiwanej przez żandarmów rosyjskich, martwiła nas zresztą mniej niż wydarccie z szeregów partyjnych najwybitniejszego wodza P. P. S.

Bo, że towarzysz „Wiktor” był najwybitniejszym wodzem ówczesnej P. P. S., o tem nikt w partii nie wątpił. Wszyscy, stykający się z nim w robocie partyjnej, opinie tę podzieliili. Nas, „londyńczyków”, utrzymywały w tem przekonaniu opowiadania jego najbliższych, najlepiej go znających towarzyszy. Już wówczas był opromieniony pewnego rodzaju legendą, a osobiste przywiązanie do niego ogółu partyjnego legendę tę szerzyło i pogłębiało. To też fakt jego aresztowania dotknął wszystkich w większej mierze aniżeli „wsypa” któregośkolwiek innego z towarzyszy. Wszyscy drżeliśmy o jego los i ze strachem myśleliśmy o wyroku, który mu mógł grozić.

Zwolna poczęły nadchodzić do Londynu wia-
domości o szczegółach aresztowania towarzysza „Wiktora” i o warunkach, w jakich się znalazł w cytadeli po przewiezieniu go tam z więzienia łódzkiego. Dowiedzieliśmy się, że zachowaniem się swojemu imponował żandarmom, którzy odzajscy w nim „generała”, wprawdzie rewolucyjnego, ale w każdym razie „generała”. Traktowano też go z wielkim szacunkiem i spełniano skwapliwie jego żądania, wypowiadané tonem stanowczym. Pozwolono mu palić, czego się odzaja domagał, zapewniono wikt oficerski. Prości żandarmi - szeregowcy bali się go.

P. P. S. miała już wówczas możność tajnego komunikowania się z Cytadelą, dzięki intendentowi jej, Siedelnikowowi, to też wiadomości zza jej murów nadchodziły raz poraz. Przyszły wreszcie do Londynu i kartki, pisane w cytadeli przez Piłsudskiego na świstkach czerwonej bibułki, wydartej z pudełek od papierosów. Zawierały one wierszyk, opisujący najście żandarmów na drukarnie, a świadczący o pogodzie ducha jego autora, oraz dokładny opis całej katastrofy.

Największych konspiratorów po „wsypie” przestała obowiàzywać konspiracja wobec działalności towarzysza „Wiktora” - tem bardziej, że, jak by-ło wiadomo, przyznał się on po aresztowaniu do własnego nazwiska i że przed żandarmami nie ukrył się jego kilkoletni nielegalny pobyt w kraju. Poczto więc opowiadać sobie poufnie rozmaito szczegóły z jego działalności, podnosić cechy jego charakteru - i legenda rosla.

Niepokój powszechny budziła niepewność, o co się towarzysza „Wiktora” oskarża. Niebawem dowiedzieliśmy się, że wytoczono mu cztery sprawy: zagraniczną, kowieńską z roku 1895, będzińską i łódzko-warszawską. Nie ulegało więc wątpliwości, że towarzyszowi „Wiktoroowi” groziła - po długości więzieniu śledczem - wysyłka do „najdalszych miejscowości Syberji” - na Jałutowy na lat od 5 do 10-ciu. Później nadeszył pogłoski, że żandarmerja usiłuje związać działalność Piłsudskiego z zabiciem w Częstochowie szpiega Szancenberga, co groziłoby towarzyszowi „Wiktoro-wi” surowszą karą - jeśli nie strykiem, to Szielsburgiem. Dopoiero kiedy bezpośredni uczestnicy tego zamachu wraz z uczestnikami innego - na szpiega Mazura w pow. będzińskim - zostali oddani pod sąd wojenny, który skazał ich (7-iu) na śmierć, zamienioną im przez cara na wieloletnią katorgę, rozumieliśmy, że niebezpieczeństwo,
grożące życiu towarzysza „Wiktora”, minęło.
Tymczasem doszły nas wiadomości, że towar-
zysz „Wiktor” począł w Cytadeli symulować o-
blakanie: odmawiał przyjmowania przynoszo-
nych mu przez żandarmów pokarmów, domagał się usunięcia mu z przed oczu ludzi w mundurach żandarmskich i t. d. Dowiedzieliśmy się też niebawem, że go wywieziono do Petersburga, dla zbadań stanu zdrowia, i umieszczono w szpitalu „Nikołaja Czudotwórcz”. Nie chciano go przeneść pod obserwację lekarzy do Tworek, widocznie obawiając się jego ucieczki stamtąd. Petersburg wydawał się pewniejszym.
Pech chciał, że rękopis mojej broszury „We wspólonym jarzmie” już w postaci ostatecznej, przerobiony na podstawie wskazówek towarzysza „Wiktora”, wyspał się w tajnej drukarni „Robotnika”. Musiałem więc jeszcze raz zabrać się do jej napisania, bruljonu bowiem nie posiadałem. Wpadnięcie mojej broszury miało i tę jeszcze złą stronę, że dawało w ręce żandarmów próbkę me-
go pisma. Ponieważ zaś pisywałem wówczas dość dużo do warszawskiej prasy legalnej, przeto zidentyfikowanie autora nielegalnej broszury ze współpracownikiem pism legalnych mogło mocno za-

szkodzić tym ostatnim. Ale jakoś nic się nie wy-
kryło, i „wsupa” ta nie pociągnęła za sobą żad-
nych konsekwencji, poza moją dodatkową pra-

ką.
Pewnego pięknego dnia w drugiej połowie ma-
ja 1901 r. przysła do Londynu wiadomość o ro-
mantycznej ucieczce towarzysza „Wiktora” ze szpitala petersburskiego. Radość, jaka nas wszyst-
kich opanowała, niemal przewyższała swą siłą to przygnębienie, w jakie wpadliśmy byli na wiado-
mość o jego aresztowaniu w Łodzi. My w Lon-
dynie wiedzieliśmy, że – wbrew puszczanym przez nas samych wieściom – znajduje się on wprawdzie na wolności, ale jeszcze w granicach pań-

stwa carów. To też każdy z nas drżał z niepokoju, zanim w drugiej połowie czerwca nie przy-

szło wieść, że już znajduje się w Galicji, we Lwowie, a więc że mu już nie grozi niebezpieczeństwstwo ponownego aresztowania przez władze ro-

syjskie.
Wówczas to powstała legenda, że towarzysz „Wiktor” z właściwym sobie litewskim uporem postanowił pozostać w kraju, zredagować tam ko-


ejny numer „Robotnika” i dopiero wówczas wy-
jechać zagranicę. Wogóle dokoła jego ucieczki
petersburskiej poczęły się tworzyć legendy – i to nie tylko wśród Polaków. Tak np. spotkałem się u znanego bibliofila londyńskiego, Woynicz, z wybitnym rosyjskim historykiem literatury, S. Wientjerowym, który wyjechał z Petersburga wkrótce po ucieczce Piłsudskiego i mówił mi o tem nadzwyczajnym wrażeniu, jakie w kołach rosyjskich ta ucieczka wywarła. Wyjechał – opowiadał sobie – okrutnym szwedzkim do Sztokholmu, gdzie na jego cześć król szwedzki (!) pono wydał wielki bankiet. Co się tyczy samego Piłsudskiego, to jest to „woobszcze łowkacz nieobÿknowienny” (wogóle zuch niepospolity).

Z niecierpliwością oczekiwaliśmy w Londynie na przyjazd towarzysza „Wiktora”, który wraz ze swą żoną wybierał się do nas na nieco dłuższy pobyt, gdyż niewiadomo jeszcze było, jak zareaguje rząd rosyjski na jego ucieczkę, i jakie stano-wisko zajmuje wobec niego władze austriackie w Galicji. Londyn i wogóle Anglia z jej nienaruszonym prawem azylu były natomiast czemś zupełnie pewnym.

Tymczasem upłynęło parę tygodni, a towarzysz „Wiktor” do Londynu wciąż jeszcze nie przyjeż-}


dział i nawet odłożył ten przyjazd na czas nieokreślony. Pisał bowiem 15 lipca 1901 r., że z powodu osłabienia fizycznego i duchowego, które jeszcze odczuwał po wszystkich tarapatach, przeżytych w ciągu ostatniego roku, pragnął lato spędzieć gdzieś w Szwajcarii i do Londynu przyjechać dopiero po wakacjach. W tym samym liście zwierzył się poufnie Jędrzejowskiemu, że nie ma zamieru siedzieć w Londynie dłużej; pragnie jak najprędzej powrócić do „kontynuowania swej kariery” – t. j. do roboty nielegalnej w kraju, o czem już, jak komunikował, rozmówił się z Sul-kiewiczem.

Zamiar wyjazdu do Szwajcarii na dłuższy tam pobyt nie doszło jednak do skutku. Towarzysz „Wiktor” przeniósł się do Zakopanego, gdyż lekarze zalecieli mu pobyt w górach, i w ten sposób przyjazd jego do Londynu odwlokł się aż do końca listopada 1901 roku. Jechał na Katowice i Poznań.

Wówczas Związek Zagranicznych Socjalistów Polskich (Z. Z. S. P.) był już przekształcony na Oddział Zagraniczny P. P. S., zaś Centralizacja Z. S. S. P. przeobrażona na Komitet Zagraniczny P. P. S. Byłem członkiem tego ostatniego, mia-


Przez czas jakiś (w grudniu 1901 r.) towarzysz „Wiktor” wraz z żoną gościł w Southbourne on Sea, w miejscowości nadmorskiej, gdzie Stanisław Wojciechowski przebywał wówczas jako kierow-
Towarzysz „Wiktor”, a raczej „Ziuk”, (zdrobniałe od kresowego Józiuk – Józef), jak go poczęliśmy teraz wszyscy nazywać za przykładem jego żony i jak go zawsze nazywano w rodzinie, w Londynie tym razem odpoczywał. Do spraw codziennego życia partyjnego nie wtrącał się prawie zupełnie, do żadnego z organów prasy emigracyjnej nie pisywał, raz tylko przez cały czas swego pobytu w Londynie wygłosił odczyt w klubie robotniczym P. P. S. – na temat powstania listopadowego – i raz tylko wystąpił publicznie na zebraniu dyskusyjnym, urządzonem przez „bundowców”, gdzie przemawiał po rosyjsku, zaznaczając na wstępie: „ja etowo proklatawo jazyka nie zabył” (nie zapomniałem tego przekletego języka). Notabene „Ziuk” bardzo lubił przeplatać rozmowę najrozmaitszymi charakterystycznymi powiedzeniami i zwrotami, w które obfituje język rosyjski. Przyzwyczajenie to pozostało mu nawsze zapewne z czasów pobytu na zesłaniu syberyjskim.
W listach też wszelkie cytaty i nawet pojedyneczne wyrazy rosyjskie podawał zawsze literami rosyjskimi – grażdanką.

Co do odczytu na temat powstania listopadowego, to forma tego była dość niedolężna. Ustawnicze powtarzanie – i to kilkakrotnie – poszczególnych wyrazów i zdań działało na słuchaczy dezerwującego. Nikt wówczas zapewne nie przypuszczał, że Pilsudski z czasem zostanie wybitnym i wspaniałym mówcą. Życie konspiracyjne zaboru rosyjskiego, wykłuczające publiczne występy krasomówce, zupełnie nie dawało pola, na którym mówcy mogliby się wyrabiać. To też najbardziej płytki i mało inteligentny mówca – Galicjanin – często zapędzał w kozi róg polemizującego z nim Królewiaka lub, zwłaszcza, kresowca, dziesięciokrotnie od niego mędrzecza.

W pogadankach towarzyskich natomiast „Ziuk” był niezrównany. Mówił chętnie i dużo, przeważnie o życiu na zesłaniu w Tunce, w sposób plastyczny charakteryzując stosunki i ludzi. Powiadamianiem tem mógł utrzymać w napięciu uwagę słuchaczy całymi godzinami.

Z jego poszczególnych wypowiedzeń się ujawniała się głęboka niechęć do Rosji, będąca jednym z zasadniczych rysów jego, że tak powiem, światopoglądu politycznego. I nie chodziło tu o Rosję urzędową, carską, której niemal nieznalazł, jak i my wszyscy, całą siłą duszy. Nie lubił też literatury rosyjskiej, która wśród wielu rewolucjonistów polskich posiadała entuzjastycznych zwolenników. Poszczególne cechy charakteru rosyjskiego uspawabiały go krytycznie. Rosyjska bierność zwłaszcza budziła w nim odrazę. Pamiętam, jak opowiadał raz o jakimś słynnym rozbójniku syberyjskim, który steroryzował oburzonym połąć kraju i grasował bezkarnie skutkiem owjej bierności mas. Pewnego razu zbój ów został otoczony przez tłum w jakimś budynku tak, że zdawało się, iż nie go już nie uratuje. Nagle zjawiła się na ganku, bezbronną, i krzyczy:

– Dorogu!

Duży tłum rozstępuje się na obie strony, i zbój przechodzi wśród dwóch zwartych szeregów ludzi z których żaden nie osmiała się go zatrzymać.

Znowu kiedyś Ziuk opowiadał z otwieraniem o jakimś feljetonie wybitnego pisarza rosyjskiego, Włodzimierza Korolenka w dzienniku „Russkija Wiedemosti”. Korolenko pisał w nim o stosunku chłopów do leśniczego Polaka, który nie do-
puszczał do kradzieży leśnych w swoim rewirze gdzieś nad Wołgą czy na Uralu. Oburzenie Ziuka wywoływał stosunek Korolenki do owego leśniczego, „Kazimiruszki” (jak go nazywali chłopi), zupełnie identyczny z poglądem chłopów, którzy „Kazimiruszku”, spełniającego sumienne swoje obowiązki, traktowali jako krzywdziściela bez serca.

popa, mogą z nią co chcą zrobić. Gwardzistę ogarnęło przerażenie...

Charakterystycznym przyczynkiem do ustosunkowania się Ziuka wobec Rosji było opowiadanie Szkłowskiego (Dioneo), znakomitego publicysty rosyjskiego, korespondenta dziennika „Russkija Wiedomosti”, który bawił w tym czasie w Londynie i przyjechał do nas, aby się zobaczyć z Ziukiem. Szkłowski przebywał razem z Piłsudskim na wygnaniu w Tunecie. Razem też powracali z zesłania do kraju. W Moskwie Piłsudski, mając sporo czasu na zwiedzanie tego miasta między jednym a drugim pociągiem, nie opuścił dworca kolejowego, manifestując w ten sposób swoją pogardę dla dawnej stolicy Rosji.

Ziuk zawsze podkreślał wszystkie różnice, jakie cechowały ruch polski w porównaniu z rosyjskim, i przeciwstawiał je wzajemnie. Dotyczyło to nawet drobiazgów. Tak np., kiedy Szkłowski w rozmowie z nim użył na oznaczenie drukarni „Robotnika” wyrażenia, utartego w języku rosyjskim w stosunku do drukarń nielegalnych, „podpolnaja tipografi”, Ziuk oburzył się na to, mówiąc:

- Razwje ona pod połom? (Czyż miejsce się pod podługą?)

Ziuk często o obrzydzeniu mówił o tych sykanach, na jakie bywali narażeni Żydzi, jeżdżący kolejami, ze strony publiczności rosyjskiej, uważając, że u nas jest to zupełnie niemożliwe.

Pomimo ostrości zatargów między P. P. S. a „Bundem”, zajmującym wówczas centralistyczno-rosyjskie i, że tak powiem, esdeckie stanowisko w sprawie niepodległości Polski, pamięć o dawnych dyskusjach z socjalistami żydoskimi na gruncie wileńskim nie musiała być dla Ziuka zbyt przykra. Byłem bowiem świadkiem bardzo przyjacielskiej rozmowy między nim a wybitnym liderem „Bundu” – Kremerem, świeżo wydalonym z Genewy i osiadłym na emigracji w Londynie. Kremer, dowiedziawszy się o pobycie Ziuka w Londynie, odwiedził go zaraz po swoim przyjeździe.

Wypoczynekowy pobyt Ziuka w Londynie nie trwał długo. Jego czynna natura nie znosiła warunków życia miejscowej dość licznej kolonii socjalistycznej, zamkniętej w obrębie monotonnych zajęć codziennych – biuro-odziennych, przebywanych zebraniach w klubie robotniczym P. P. S., położonym dość daleko od siedziby Komitetu Zagranicznego w Leytonstone, „na Ling-
woodzie" (nazwa zajmowanego przezeń domu), gdzie oboje Piłsudscy zajmowali mały pokoiok obok kancelarji Baja (Jędrzejowskiego). Pozatem nie przestawały Ziuka tracić sprawy „krajowe”. Wprawdzie po aresztowaniu jego w Łodzi, partja, dotknięta ciężką stratą drukarni i aresztowania- mi, które w tym czasie zagarnęły kilku towarzyszy z kół kierowniczych, nie uległa tym ciosom. Organiza- cja została odbudowana i wzmocniona, do ro- boty wciągnięto nowych ludzi, a Stanisław Woj- ciechowski, dojeżdżający od czasu do czasu do za- boru rosyjskiego, walnie przyczyniał się do upo- rządkowania ruchu. Wojciechowski powziął nawet postanowienie – już podczas pobytu Ziuka w Lon- dynie – osiąść (wraz z żoną) znówuż na stałe w kraju jako „nielegalny”. Jednakże realizacji te- go postanowienia stanęła na przeszkodzie choroba pani Wojciechowskiej, i mąż jej w końcu oświad- czył stanowczo, że do kraju pojechać nie jest te- raz w stanie.

Ta ostatnia okoliczność zdecydowała o opu- szczeniu Londynu przez Ziuka. Dnia 9-go kwiet- nia 1902 r. Ziuk pisze do Wojciechowskiego, że postanowił udąć się do zaboru rosyjskiego na 2–3 miesiące, 16 kwietnia był już w Krakowie, skąd


Ze ścisniętymi sercami żegnaliśmy w Londynie Ziuka, powracającego do kraju, o czem wiedziało zaledwie paru najbardziej wtajemniczonych członków organizacji. Ocenialiśmy bowiem ryzyko, z jakim był połączony pobyt jego w kraju, i wie- dzieliśmy, coby mu groziło na wypadek ponowne- go aresztowania. Napewno jużby go się z rąk żandarmskich nie udało wyrwać. To też każdy list z kraju, świadczący o tem, że Ziuk szczęśliwie u- nika grożących mu niebezpieczeństw, dodawał nam otuchę, tem bardziej, że wiedzieliśmy, iż czas coraz bardziej skraca jego trwanie na tym poste- runku, bo zблиżał się termin, zgóry przez Ziuka ustalony.

Z listów krajowych dowiadywaliśmy się o jego działalności, mającej przedewszystkiem za zadanie uporządkowanie stosunków organizacyjnych roz- rastającej się partii. W ciągu prawie 2–ch mie- sięcy nielegalnego pobytu w zaborze rosyjskim Ziuk zapoznał się dokładnie ze stanem rzeczy i zorganizował VI. Zjazd P. P. S. w czerwcu w Lu-

Przed samym zjazdem Ziuk pisze do Londynu: „za 2–3 tygodnie będę wrócić” i zawiadamia, że wraca do Galicji, gdzie chce osiedlić się na stałe, gdyż stamtąd może łatwo komunikować się z zaborem rosyjskim i dość dojeżdżać w razie potrzeby. Istotnie już w końcu czerwca jest w Krakowie, skąd na całe lato wyjeżdża na Podhale.

W listach, pisanych w tym czasie do Londynu, zwierza się z wrażeń, wyniesionych z kraju, i dużo mówi o potrzebie i konieczności wyprowadzenia ruchu na nieco odmienne tory. Ożywienie polityczne, jakie się dawało dostrzegać w tym czasie w całem państwie rosyjskim, wskazywało na to, że dotychczasowe metody działalności P. P. S. już nie wystarczają. To, czym P. P. S. w ciągu lat uprzednich tak imponowała wszystkim żywiołem rewolucyjnym, mianowicie sprężystość organizacyjna i wspaniała technika, już stosowane było i przez inne organizacje. Narodowa Demokracja w Królestwie i Galicji oddziaływała na coraz szersze koła inteligencji polskiej. Partia również pozyskiwała licznych nowych zwolenników z tej sfery, którzy zwracali się do niej po wskazówki, jednakże dotychczasowe, czysto robotnicze nastawienie partii ich nie mogło zadowolić. Trzeba więc było pomyśleć o zaradzeniu temu. Wreszcie Galicja stawała się podstawą operacyjną dla rozmaitych grup, działających w zaborze rosyjskim, gdy tymczasem myśli w Londynie byli coraz bardziej odcięci od kraju. Ziuk pisał więc o konieczności stworzenia wydawnictw dla inteligencji, o wyzyskiwaniu nowych możliwości, wywierających się przed partią, i specjalny nacisk kładł na konieczność przeniesienia bodaj części „Londynu” do Galicji.

Powoli i w Londynie dojrzewała myśl stopniowego zlikwidowania tamtejszej placówki emigracyjnej i przeniesienia jej zaraz ze wszystkimi agendami do Galicji. Tam bowiem stosunki ułożyły się już w ten sposób, że można było liczyć na pewną tolerancję władz austriackich wobec emigrantów z zaboru rosyjskiego. Był to skutek ro-
1903 „Z i u k”

L. Wasilewski: Józef Piłsudski jakim Go znalazłem

snącego wpływu socjalistów polskich w Galicji z Daszyńskim na czele i wogóle czynników socjalistycznych w Austrii, któreby nie tolerowały gwałcenia prawa azylu.


Całe to towarzystwo było dość opozycyjnie u-sposobione wobec kierownictwa P. P. S. i dawało nieraz ostry wyraz swym krytycznym poglądom na rozmaite objawy działalności partyjnej. Krytyka ta jakkolwiek wypływała z najlepszej woli, przeważnie nie była słuszną, gdyż zwykle nie ściśla się z faktycznymi możliwościami pracy krajojowej. Stąd wysuwane przez członków sekcji krakowskiej zarzuty pod adresem ciała kierowniczego Partii wywoływały irytację Ziuka, który najczęściej musiał na nie odpowiadać jako uznanym i najbardziej autorytetnym przedstawicielem tego ciała. Pamiętam, jak kiedyś użalał się na wysunięty na posiedzeniu sekcji krakowskiej zarzut jednego z jej członków, że Partia nie zareagowała na jakiś wypadek, który – jego zdaniem – takiego zareagowania koniecznie wymagał. Argument Ziuka, że nie było na podroądzie drukarki, w której można było wydrukować pożądaną odezwę, nie znalazł uznania u oponenta, który z złośćją ironią powtarzał: „drukarki nie było!”, uważając tę okoliczność za karygodne niedbalstwo partii.

Opowiadając o tym, Ziuk mówił:
- Wprost musiałem się powstrzymywać, aby mu nie dać w pysk.

Zapamiętałem ten drobny epizod jako coś niezwykle odbiegającego od tej poblazliwości, z jaką
Ziuk stale traktował rozmaita wystąpienia opożycyjne. W wydawaniu opinii o ludziach był bowiem niezwykle powściągliwy i nie pozwalał sobie nigdy na wyrazy surowego potępiania, których inni towarzysze nie szczędzili niesłusznym zarzutom opozycjonistów. Wobec otoczenia zawsze występował w nastroju pogodnym, śmiał się i żartował przy każdej sposobności i nikt go nie widywał zatroskanym, jakkolwiek sytuacja dużo trosk wywoływała. Rozmów czysto teoretycznych unikał, nie lubił używać w dyskusji utartych metod argumentacji, przyjętych w obozie socjalistycznym („między innymi tego, co nazywał „żargonem socjalistycznym””) i, polemizując, nieraz ostro, nie cofał się przed ironią i nawet kpinami. Ale nigdy wówczas nie pozwalał sobie na coś ubliżającego komuś lub dotykającego kogoś osobiste. Cechowały go pod tym względem umiar i rezerwa.

Stykając się z nowymi ludźmi, bardzo chętnie i szczerżowo wypytywał ich o stosunki, sobie nieznane, i odrzucił zdobywał sobie ich serca. Lubił żarty i „kawały”, ale nigdy nie słyszałem z ust jego jakiegoś wyrazu trywialnego, nie mówiąc już o nieprzyzwoitych. Brzydził się niemi najwidoczniej. Ciekawe też, że nikt w jego obecności nie ważył się używać takich wyrazów.

Autorytet Ziuka cieszył się w kołach partyjnych najpowszechniejszym uznaniem, połączonym często z sentymentem, jaki mieli wobec niego towarzysze nie tylko z powodu jego zasług i legendy, która go już wówczas opromieniła jako działacz, ale i ze względu na jego ujmujący charakter. Nawet skrajni opozycjonisci dbali ogromnie o dobry z nim stosunek i nawet oś zabiegali.

Pamiętam jak starszy już działacz, jeden z założycieli P.P.S., były więzień i zesłaniec syberyjski, Leon Falski, był zmartwiony, kiedy raz Ziuk w rozmowie żartobliwej, toczonej w pensjonacie p. Kaplińskiej w Krakowie, przy ulicy Szpitalnej, gdzieśmy się stołowali, użył zwrotu „pan”, zamiast powszechnie będącego u nas w użyciu „wy”. Tak był tem dotknięty, że po naradzie z towarzyszącymi zwrócił się do Ziuka o wyjaśnienie – za co jest na niego obrażony, że aż przeszedł wobec niego na „pan”. I dopiero kiedy Ziuk stanowczo go zapewnił, że, używając zwrotu „pan”, ani myślał zaznaczać w ten sposób zmiany swego stosunku do niego, uspokoił się.

Ziuk w owym czasie, poprzedzającym nadcho-
dzające wypadki wielkiej doniosłości, związane z wojną japońsko-rosyjską i wynikiem z jej skutków wrzeniem rewolucyjnym w Rosji, trapił się mocno niedopasowaniem organizacji partyjnej i środków jej oddziaływania na zewnątrz – do zmienionej sytuacji P. P. S., która uprzednio wysunęła się była pod każdym względem na czoło wszystkich istniejących podówczas w całem państwie rosyjskim grup antyrządowych. Jej technika wydawnicza i transportowa, jej formy organizacyjne i wpływy były w obozie rewolucyjnym przez czas dłuższy czemś zgola wyjątkowym i budzącym powszechnej podziw. Tymczasem powstałe po niej i działające obok niej organizacje poczęły stopniowo dorównywać jej pod tym względem. Odrodził się ruch rosyjski, płynący dwoma wartkimi strumieniami – partii socjalistów-revolucjonistów i socjalnej demokracji. Żydowski „Bund” rozwijał gorączkową działalność, konkurującą swoją techniką z P. P. S. Odrodziła się znów po latach nieistnienia Socjaldemokracja Królestwa Polskiego i Litwy, zwalczająca z całym fanatyzmem ideę niepodległości Polski. Na poszczególnych „kre- sach” Rosji budziły się narodo-wsocjalistyczne ruchy rewolucyjne Narodowa Demokracja – wówczas jeszcze antyrosyjska – uzyskiwała coraz szerszy wpływ na społeczeństwo polskie we wszystkich trzech zaborach. Wobec tego wszystkiego Ziuk poszukiwał dla Partii nowych dróg rozwoju, któreby jej zapewniły powodzenie w walce konkurencyjnej i pozwoliły zachować stanowisko przewodnie w ruchu antyrosyjskim w Polsce.

Jedno z wyjść widział w zerwaniu z dotychczasowym zaklepieniem działalności Partii w szczytowych ramach własnej organizacji i dążył do rozszerzenia jej wpływów na szersze koła społeczeństwa. Krytykował między innym zachowanie się pps-owców emigrantów z zaboru rosyjskiego, którzy „smażyli się we własnym sosie” i nawet nie umieli w należytej mierze wyzyskać swego wpływu na towarzyszy galicyjskich, nie mówiąc już o szerszych kołach społeczeństwa miejscowego. Uważając za jeden z najlepszych sposobów wyjścia z izolacji rozwinięcie działalności wydawniczej, obliczonej na wpływ na inteligencję, parlę jak najnajszyszego zorganizowania specjalnej spółki wydawniczej, którzy się tem zajęła. Pod jego to naciskiem sprowadzony z Londynu Baj-Jędrzejowski osiadł we Lwowie i wstąpił na praktykę
w firmie księgarskiej Altenberga, poczem objął dyrekcję spółki nakładowej „Książka”, która z czasem, dzięki jego niepospolitemu kierownictwu, zdobyła sobie tak chłubną kartę w dziejach kultury polskiej doby przedwojennej.

Usiłowania Ziuka w kierunku bezpośredniego rozszerzenia wpływów emigracji pps-owej na społeczeństwo galicyjskie nie dały poważniejszych wyników. Bądź co bądź jednak uzyskał on duży wpływ na Ignacego Daszyńskiego (zwanego przezeń żartobliwie „primadonną”), skutkiem czego mógł pośrednio wpływać i na innych liderów galicyjskiego ruchu socjalistycznego, w owych czasach jeszcze nie skonsolidowanego ostatecznie pod względem ideowym z P. P. S. zaboru rosyjskiego. Istniały w nim pewne wpływy esdeckie, do tępienia których przystąpiliśmy niezwłocznie, poparci całym olbrzymim autorytetem Daszyńskiego. W ten sposób przynajmniej w dostępnym nam, socjalistycznym, odłamie społeczeństwa galicyjskiego wpływy esdeckie zostały w dość krótkim czasie złamane ostatecznie. Jakkolwiek pomoc Daszyńskiego, zdecydowanego niepodległościowca, odegrała tu rolę rozstrzygającą, jednakże i Ziuk wpływem swym ewolucję tę znacznie przyśpieszył.

Przebywając w Galicji i tu posiadając swe pied à terre, Ziuk dość często wyjeżdżał do zaboru rosyjskiego, oczywiście nielegalnie. Parę razy wyjechał tam z Czatkowic, pod Krzeszowicami, gdzie przebywaliśmy na letnim mieszkaniu. W Czatkowicach, u nas, spotykał się z „Com-brem” – Józefem Dąbrowskim (znanym później pisarzem-historykiem Grabcem), który, mieszka-jąc w Zagłębiu Dąbrowskim, prowadził robotę partyjną w Zawierciu i stykał się z inteligencją zagłębiowską, sympatizującą z P. P. S. Ziuk toczył z nim długo rozmowy, starając się go inspirować w odpowiednim duchu i poskramiać jego pewnego rodzaju niesforność ideową. „Com-ber” bowiem już wtedy objawiał pewne skłonno-ści w kierunku oportunizmu „lewicowego”, skla-niającego się ku postulatowi „autonomii” jako „łatwiejszej do zdobycia w danych warunkach”. Chodziło więc o to, aby nie szerzył tych poglądów w środowisku, na które mógł wpływać.

W tym okresie stykałem się z Ziukiem bardzo często. Prowadząc w „Naprzodzie” dział korespondencji z zaboru rosyjskiego – na podstawie
coraz liczniej napływających stamtąd materjałłów, otrzymywałem od Żiuka liczne informacje i instrukcje, które w tych korespondencjach użytkowymywałem.

Informowałem go o sytuacj i nastrojach wśród towarzyszy z sekcji krakowskiej i prawie zawsze, ilekroć mówiłem o konieczności reagowania na jakąś popełnioną przez nich niewłaściwość, spotykałem się z niezrozumiałą dla mnie pobieżliwością. Moje skargi i propozycje zbywały zwykle krótkimi uwagami: „a niech ich tam!” lub „Dajcie spokój – niech sobie robią!” Nie uważałem tego za słuszne, ale ulegałem autorytetowi CKR-owca. Później stwierdziłem, że ta pobieżliwość dała wyniki ujemne i w pewnej mierze przyczyniła się do skonsolidowania się w partii prądu t. zw. „lewicowego”. Na mnie ta pobieżliwość robiła czasem przykre wrażenie i byłem mocno niezadowolony z tego, że „Ziuk” nie używa całego swego autorytetu na zwalczanie tych tendencji, sprzecznych z programem partyjnym.

Tymczasem wielkimi krokami zbliżały się doniosłe wypadki na bliskim i dalekim Wschodzie. Odczuwało się narastanie nastrojów opozycyjnych w społeczeństwie zaboru rosyjskiego. Echa wyda-
granicznego" na biuletyn tygodniowy, któryby był składany w Galicji i odbijany sposobem litograficznym w zaborze rosyjskim, co wymagało stworzenia specjalnej techniki.

Pomysł był dobry, ale wykonanie nie dopisało, a rozpowszechnianie niezbyt udanych odbitek miało takie braki, że wkrótce musieliby zaprzestać tej imprezy, ograniczając się do coraz większej ilości odezw, puszczanych przy lada sposobności, później zaś do mnożenia liczby pisemek lokalnych, które powstawały we wszystkich ośrodkach organizacyjnych P. P. S. w Królestwie i na Litwie.

W lutym 1904 r. otrzymałem list Ziuka z Warszawy, w którym pisał:

„Kochani!

Będziecie teraz częściej otrzymywali korespondencje i wiadomości, uporałem się z tem. Nastrój tutaj bardzo poważny, nakładający na nas specjalne obowiązki. Musimy nagwalt mobilizować sztab i podoficerów ruchu. Musimy robić wojowniczą minę, to teraz jedyny sposób wypłynięcia na wierzch przy tem podniesieniu umysłów z powodu wojny. N. D. postanowili siedzieć cicho, s. d. stracą zupełnie wpływ, więc my pozostajemy jedni. Odezwa za parę dni będzie. Treść jej taka, że nawiązuje do uporządkowania organizacji i trzymania się w pogotowiu jak dlatego, by powstrzymać w razie czego ruch, tak dla tego, by popchnąć. Bojmy się mobilizacji i okresu 1 maja, bo może być awantura bardzo i bardzo gruba. Urządzielę tu ogromną akcję w celu zrobienia opinii o groźnym stanie rzeczy i konieczności ratowania narazie sytuacji przez porządną zmo

[Przepełnienia]

bilizowaną organizację, która weźmie jako tako w łapy podniecone i rozgorączkowane w kierunku otwarej walki umysły. Impor

nuje to grubo i zdaje się będzie z tego po
ciecha monetarna gruba. Pieniądze wyszłą
czy oddadzą być może na adres Pędzichów 15 Bobrowski. Należy tam uprzedzić, że to się stać może w przeciągu tygodnia–dwóch. Nie wiem, jaka to będzie suma, ale z tej monety tylko połowe – i to najbardziej stanowczo – macie prawo użyć na sprawy konieczne zagraniczne. Nie róbcie świństw i nie rozdrażacie, bo tu potrzeby szalone. Liczbę funkcjonariuszy powiększyć musimy co najmniej w dwójkasób, stawić nowe intere

80 81
sy, nowych chwitać się sposobów. Monetę pokwitować w Przedwicie i natychmiast ten N. przez okazję wysłać do naszych w Wa. (rzawie). Jadę teraz gdzieindziej robić to samo.

Co do mobilizacji naszej. Przygotować ludzi: Władka w Londynie¹, Marjana w Krakowie², Doktorka³, Konarskiego z Fryburga⁴, że uważamy ich w stanie rozporządzalnym i w każdej chwili wezwą ich możemy.

Jak będę, a będę wkrótce, bliżej ogadamy interesy.

Do Władka napisać, by natychmiast szedł do Bundu i pogadał z nimi, co oni zamierzają robić, jakie mają plany i czy nie czas pogadać o bliższym kontakcie w celu zwiększenia w naszym kraju siły esowej⁵ dla za-
ciążenia na szali wypadków, przedstawiając, że przewidzieć niemożliwe, jak dalece pójdą wypadki, jakie zajdą ewentualności, w któ-
rych oni będą odegrywać rolę wciągniętych

1) Aleksandra Malinowskiego. 2) Marjana Dąbrowskiego, brata Józefa, historyka (Grabca). 3) Władysława Mazurkiewicza. 4) Konrada Kasprzaka. 5) Socjalistycznej.
Już z samego stylu tego listu widać było, w jakim podnieceniu Ziuk w tym okresie działał.

Ziuk kłdł wielki nacisk na ogólną agitację prasową w związku z wojną, przywiązując do niej wielką wagę. Zachwycał się kampanią publicystyczną organu socjalnej demokracji rosyjskiej „Iskry”, prowadzoną pod hasłem „wojna wojnie”, i nazywał ją „bardzo wspaniałą”. W rozmowach z nami podkreślał konieczność wyzyskiwania wojny i zwłaszcza klęsk rosyjskich dla wywołania w jaknajszerzych kołach społeczeństwa polskiego takiego podniesienia nastrojów opozycyjnych, które by pozwoliły przejść od agitacji do organizowania czynnych wystąpień rewolucyjnych z perspektywą otwartej, coraz bardziej pogłębiającej się walki z najazdem. Wskazywał na konieczność szukania sojuszników – przedewszystkiem wśród socjalistów sąsiednich narodowości. Inicjował porozumienie z nimi. Mówił też (ale tylko w najśśielszym kołach najbliższych towarzyszy) o potrzebie kontaktu z Japonią, co też niebawem począł realizować w drodze, jeśli się tak można wyrazić, półoficjalnej – ze względu na opór, jaki te zabiegi mogłyby napotkać u rosnącej na silach „lewicy” par-

Facsimile listu do L. Wasilewskiego z lutego 1904 r.
tynej, która dążyła do opanowania władzy w P. P. S.
Sprawa wzmocnienia i radykalizacji ruchu wiązała się ścisłe z kwestią funduszy partyjnych, gdyż dotychczasowe zasoby P. P. S., pochodzące ze składek członków i sympatyków, jakkolwiek szybko wzrastające, nie mogły już wystarczać. Chodziło o sumy poważniejsze i Ziuk najbardziej odczuwał ich brak. Trzeba bowiem wiedzieć, że Ziuk niemal od momentu przystąpienia do P. P. S. zawsze był jej „ministrem finansów”. Z niesłychaną skrupułatnością prowadził rachunki partyjne i układał budżety. Sprawozdania rachunkowe przesyłał systematycznie do Londynu, przeprowadzając szczegółową korespondencję z Bajem (również wielkim pedantem na punkcie rachunków, w dodatku buchalterem z zawodu) w sprawie pojedynczych pozycji dochodów czy wydatków.

Chcąc stworzyć nowe, poważne źródła dochodów na cele rewolucyjne, Ziuk zwrócił się do sfer, dotychczas nie wyzyskiwanych przez partię. Między innymi udał się do Petersburga i tam rozmawiał z przedstawicielami kół bardzo zamożnych polskich, wskazując na możliwość wyzyskiwania sytuacji dla interesów kraju. Zabiegi te wszakże nie dały żadnych wyników i tylko przyczyniły się do zdekonspirowania w pewnej mierze Ziuka. Rząd rosyjski bowiem został poinformowany o nich, co było tem niebezpieczniejsze, że Ziuk w tej akcji występował pod własnym nazwiskiem. Trzeba więc było zwrócić się do innych źródeł pieniężnych. Z wydatną pomocą przyszła emigracja polska w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej, posiadająca dość silną organizację robotniczą, sympatyzującą z P. P. S. Ale tego było za mało i kwestia pomocy, którąby się dało uzyskać od Japonii, dojrzewała coraz bardziej – aż wreszcie doprowadziła do wyjazdu Ziuka do Japonii w lipcu 1904 r. Uchwała co do jego wyjazdu zapałała w Krakowie w bardzo szczupłym gronie towarzyszy partyjnych, w jakimś mieszkaniu (jak sobie teraz przypominam) przy ulicy Andrzeja Potockiego. Wprawdzie faktu wyjazdu Ziuka do Tokio nie można było zataić wobec reszty kierowników P. P. S., jednak „oficjalnie” o niej nic nie wiedziano.

Po powrocie z Japonii Ziuk przystępuje do organizowania wszystkiego tego, coby mogło zwiększyć siły rewolucyjnej partii. Jednocześnie zaczyna
oddawać się głębszym studjom nad wojskowością. Bywając u niego, widziałem coraz więcej wydawnictw z tej dziedziny, a w rozmowach swych w tym czasie Ziuk raz po raz wracał do tematów militarnych, które go najwidoczniej „brały” coraz bardziej. Siadywał godzinami nad mapą teatru wojny rosyjsko-japońskiej, zaprenumerował urzędowy dziennik wojskowy „Russkij Inwalid” i wkrótce już mógł nam wszystkim imponować olbrzymim zasobem wiedzy wojskowej.

Akcja terorystyczna, która rozpoczęła w tym czasie nabierać rozpędu w Rosji, nie animowała Ziuka. Wyrażał się dość sceptycznie o jej skutkach i wynikach, nie zamierzał stosować tej taktyki u nas, w zaborze rosyjskim. Natomiast całą uwagę skupił na wydobywaniu z polskiej klasy robotniczej maksymalnego napięcia aktywnych sił rewolucyjnych. Na zebraniach partyjnych propagował zasady rozporządzalności organizacji, która jego zdaniem powinna by była przechodzić stopniowo do coraz energiczniejszych wystąpień o coraz bardziej masowym charakterze. Ostrzegał popularną teorię „żywiołowości” i udawadniał, że tylko celowo zorganizowany wyścig może dać trwałe rezultaty.

Te jego poglądy, szerzone w partii, dawały też praktyczne wyniki. Od drobnych manifestacji ulicznych i bicia szpicłów kijami powoli przekształcono do prób manifestacji zbrojnych, z których pierwsza na wielką skalę – na placu Grzybowskim w Warszawie w dniu 13-go listopada 1904 r. wywołała olbrzymie wrażenie.


Tymczasem wypadki na Dalekim Wschodzie rozwinięły się w cały szereg klęsk caratu. Równolegle z tym występowało coraz poważniejsze wrzenie na obszarze całego państwa carów. Aż wreszcie w styczniu 1905 r. w Petersburgu doszło do słynnej GAPonady, która zainaugurowała wielki
ruch rewolucyjny na całej przestrzeni Wszechrosji i jej „kresów”.
Z natury rzeczy w Królestwie wypadki wysunęły na czoło ruchu Polską Partię Socjalistyczną, jako posiadającą najbardziej rozgałęzioną i sprzężystą, a więc najbardziej wpływową organizację. Organizacja ta jednak nie była przygotowana ani do przyjęcia i zasymilowania napływających ze wszystkich stron nowych współpracowników, ani do nadania prowadzonej przez nią akcji charakteru, odpowiadającego w całej pełni zadaniom chwilą na terenie polskim. Partia została zaskoczona wypadkami rosyjskimi i poczęła coraz bardziej ulegać wpływom ruchu rosyjskiego. Napływające do P. P. S. elementy wzmocniały w niej tendencje t. zw. „lewicowe”, już nie tylko koordynujące się z ruchem rosyjskim, ale wprost z nim utożsamiające się. Wiara w bliskie zwycięstwo rewolucji wszechrosyjskiej, mającej przekształcić Rosję na jakiś związek demokratyczny krajów i ludów, podbitych przez carat, stawała się udziałem coraz większej części partyi, a dotychczasowe hasło niepodległości błądło coraz bardziej. Liczono się z niem wprawdzie jeszcze jako z celem idealnym ruchu, ale realizację tego celu odsuwano w daleką przyszłość, wierząc, że w przeżywanym momencie dziejowym hasło jakiegoś „prawnoparystwowego usamodzielnienia” Kongresówki jest czemś zupełnie realnym.
Ziuk tych wierzeń, poglądów i nadziei nie podzielał. Widocznie jednak nie uważał za możliwe wynosić ostatecznych konsekwencji ze swego stanowiska, gdyż musiałoby to doprowadzić w momencie najzupełniej nieodpowiednim do rozłamu w Partii. Z tą myślą Ziuk nie mógł się przecież pogodzić jako jej twórca w żaden sposób. I tem się tłumaczyła dziwna na pierwszy rzut oka okoliczność, że, będąc członkiem C. K. R., nie zjawił się na marcową konferencję, która w sposób nielegalny została przez jej organizatorów przekształcona na VII zjazd P. P. S. Ten ostatni poważał między innymi uchwałę, która brzmiała: „W myśl programu naszej partii VII zjazd P. P. S. zaboru rosyjskiego uchwala prowadzenie jak najostrozejzej walki rewolucyjnej o zdobycie prawnoparystwowego usamodzielnienia kraju na szego z uwzględnieniem potrzeb wszystkich narodowości na terenie tym zamieszkałych. Usamodzielnienie to ma określić zwolane do Warszawy zgromadzenie konstytuujące, wybrane na podsta-
wie powszechnego, równego, tajnego i bezpośredniego głosowania – jako najwyższe ciało prawodawcze.” Był to widoczny odwrot od programu niepodległościowego do autonomicznego, jakkolwiek nie postawiono tu jeszcze ostatecznej kropki nad i – co pozwałało i zwolemnikom integralnej niepodległości interpretować tę uchwałę w sensie niepodległościowym. Interpretacja ta polegała na nadawaniu owemu „zgromadzeniu konstytuującemu”, czyli konstytucji warszawskiej, mocy ogłoszenia całkowitej niepodległości kraju.

Na VII zjeździe władz w P. P. S. przeszła w ręce t. zw. „mlodych” – późniejszej Lewicy. Autorytet Ziuka nawet u najbardziej oportunistycznie usposobionych „lewicowców” był jednak o tyle zakorzeniony, że nie ośmielono się unusząć go całkowicie z C. K. R.-u i wybrano go don, ale z zastrzeżeniem „o ile będzie w kraju”.

Dla nas „starych” (Jodko, Jędziewski, Sulikiewicz, ja i inni) decydującym było w tym momencie, co postanowi Ziuk. Czy mamy podporządkować się lojalnie uchwałą VII zjazdu, czy też wystąpić przeciwko nim i wysunąć z nich ostateczne konsekwencje. Formalnie mogliśmy poprosić nie uznać tych uchwał jako powziętych przez zjazd, zołany nielegalnie i żądać nowego, normalnie zołanego zjazdu. Ale mogło to – i napisało doprowadziłoby do rozłamu, a na to, jako starzy partyjni, właściwi twórcy P. P. S., nie szliśmy. Ziuk stanowczo wypowiedział się przeciwko rozłamowi i na odbytych z nim naradach musielibyśmy mu przyznać rację. Postanowiliśmy bronić naszych pozycji wewnątrz partii, hamując zapędy „lewicowców” w kierunku autonomicznym, i przygotowywać stopniowo odrodzenie przewagi kierunku niepodległościowego. Ponieważ jedną z uchwał VII zjazdu zawieszono mię w funkcjach członka Komitetu Zagranicznego jako stanowczego i konsekwentnego przeciwnika tendencji autonomicznych, przeto z inicjatywy Ziuka koledzy moi z Komitetu Zagranicznego wystąpili bardzo ostro przeciwko temu niesłychanemu dotychczas zarządzeniu i zapowiedzieli wystąpienie z Komitetu, o ile ta uchwała nie zostanie cofnięta. I rzeczywiście cofnięto ją, a po wymownej obronie mnie przez Ziuka za cofnięciem wysłyszeliśmy się i „lewicowi” członkowice Komitetu Zagranicznego, narzuceni nam przez VII zjazd. Autorytet Ziuka i tu rozstrzygnął.

Po VII zjeździe położenie nas „starych” było
w partii dosyć ciężko. Odsuwano nas systema-
tycznie od kierownictwa i pracy agitacyjno-publi-
cystycznej, gdzie mogliśmy się stać najbardziej „niebezpiecznymi”. Stąd część „starych” przeszła
do robót technicznych, większość zaś skupiła się
przy robotach bojowych. Te bardzo prędko
skoncentrowały się (o ile chodzi o kierownictwo)
w rękach Ziuka, którego też „lewica” nie mogła
odsunąć i od pewnych innych funkcji partyjnych,
zwłaszcza o ile chodziło o wystąpienia nazewnątrz.

Tak Ziuk został wydelegowany wraz z innymi
przedstawicielami P. P. S. na konferencję sied-
miu partii socjalistycznych i rewolucyjnych pań-
stwa rosyjskiego, która się odbyła w Genewie
kwietniu 1905 r. z inicjatywy bohatera ruchaw-
ki Petersburskiej – popa Gapona.

Konferencja ta, jak wiadomo, powzięła cały
szereg uchwał, ważnych dla koordynacji sił i dzia-
łań partyj rozmaitych kierunków i narodowo-
ści. Po powrocie z konferencji Ziuk dzielił się
z nami swemi wrażeniami. Wypadek chciał, że
jako reprezentant rosyjskiej partii S. R. (socja-
listów-rewolucjonistów) na konferencji genewskiej
występował Jewno Azef, głośny niebawem jako

zdemaskowany przez Burcewa agent-prowokator.
Mówiąc o nim, Ziuk wyraził się:
– Dosyć mi się podobał ten Żydowin...

Takie wrażenie wywarł na Ziuku Azef, zdaje
się, głównie tem, że w dłuższej rozmowie z nim
dość lekceważąco odzywał się o „rewolucyjnych
kaczestwach russkowo czelowieka” (właściwo-
ściach rewolucyjnych Rosjanina).

Organizowanie sił bojowych P. P. S. niemal
calkowicie pochłaniało energię Ziuka w tym cza-
sie. Jego stanowisko, streszczające się w dążeniu
do systematycznego wytwarzania wielkiej siły
zbójnej, którąby mogła odegrać rolę rozstrzy-
gającą w decydującym momencie rewolucji, na-
potykało na znaczny opór ze strony „lewicowego”
kierownictwa partii. To ostatnie skłaniało się ra-
czej do forytowania efektowych wyczynów te-
rorystycznych, lub do sprowadzenia Organizacji
Bojowej do roli „czyśćciciela”, sprzątającego szpie-
gów i wogóle pojedyńcze jednostki, szkodli-
we dla partii. Stąd ustawiczne polemiki na ze-
braniach partyjnych, gdzie Ziuk musiał bronić
swego stanowiska wobec kierownictwa „lewicowe-
go” lub uzasadniać i propagować je przed szerz-
sem audytorium partyjnym. Odbywało się to nie
tолько w zaborze rosyjskim, ale i na gruncie gali-
icyjskim, gdzie znajdowała się właściwa baza dzia-
łań Organizacji Bojowej, gdzie istniały perjedycz-
nie organizowane szkoły bojowe, skąd wysyłano bojowców na poszczególne akcje w Królestwie. Na tem tle Ziu krozwinął nadzwyczajną energię: organizował, przemawiał, wykładal, urządzal kon-
ferencje i skupiał dookoła siebie coraz większą liczbę gorących zwoleńników, traktujących go ja-
ko wodza.

Tak płynęły miesiące gorącego roku 1905-ego. 
Ziuk coraz częściej i coraz dłużej przebywał w za-
borde rosyjskim, a powracając do Krakowa, od-
dawał się ustawicznemu „pilowaniu się” (jak nazy-
wał dyskusje na zebrańach organizacyjnych) w sprawach bojowych. Skutkiem tego, pracując w zupełnie innym dziale robót partyjnej, sty-
kałem się z nim tylko dorywczo – i to głównie w chwilach jego odpoczynku, kiedy o sprawach partyjnych przeważnie nie mówiło się.

Godziny odpoczynku poświęcał grze w szachy, 
czasami grywał w winta, bardzo często rozkładał 
paszansa i nie na żarty martwił się, kiedy pasjans 
nie wychodził. Nie widać było po nim zmęczenia, 
a w kole bliższych przyjaciół prowadził ożywione 
rozmowy, chętnie powracał do epizodów życia 
syberyjskiego lub innych wypadków swego życia. 
Tak kiedyś szczegółowo opowiadał o zachowywa-
niu się w więzieniu po „wsypie” łódzkiej 1900 ro-
k. Mówił, że symulacja w Cytadeli udawała mu 
się świetnie i mogła wprowadzić w błąd nawet 
wytrawnego lekarza. – Mam talent aktorski, mó-
wił, śmiejąc się. Ale symulacja ta wymagała tak 
dużego natężenia nerwów, że czuł, iż po dłuższym 
czasie zwrócię niechynnie naprawdę. To też, 
przeniesiony do Petersburga, do szpitala Mikołaja 
Cudotwórcy, zupełnie przestał symulować obłaka-
nego i myślał tylko o zorganizowaniu ucieczki.

Tymczasem w Rosji wrzenie rewolucyjne do-
chodziło do swego apogeum. Gdziegnadzie, zwłaszc 
na na kresach, przedewszystkiem zaś w Króle-
stwie (specjalnie w Zagłębiu Dąbrowskim) obok 
władz rządowych coraz większego znaczenia na-
bierały miejscowe komitety partyjne. Zdawało 
się, że carat niebawem runie bezpowrotnie. Ziuk 
odñosił się do tych przewidywań sceptycznie, wy-
chodziąc z założenia, że rewolucja nie posiada sił, 
mogących serio walczyć z wojskiem.

W październiku wybuchł wielki strajk kolejowy, obejmujący całe państwo. Wywołało to pani-
kę w kołach rządu rosyjskiego i w rezultacie manifest 17/30, zapowiadający wprowadzenie konstytucji. My, przebywający na emigracji pps-owcy, otrzymaliśmy od naszych władz warszawskich wezwanie do powrotu do „kraju” i wkrótce zleciliśmy się wszyscy w Królestwie.

Ziuk absolutnie nie wierzył w trwałość skutków przewrotu październikowego w Rosji. Na pęd do „legalizowania się”, który ogarnął znaczną część emigracji partyjnej po 30 października, zapatrywał się bardzo sceptycznie i osobiste nie czynił w tym kierunku żadnych kroków, twierdząc, że wkrótce przyjdzie surowa reakcja i że te „swobody”, które narazie rząd, skonsternowany wzrokiem rewolucyjnem, toleruje, będą niebawem cofnięte. To też i po 30 października, tak samo jak i uprzednio, przebywał w zaborze rosyjskim nielegalnie, nigdzie publicznie nie afiszując się, gdy tymczasem mnóstwo naszych towarzyszy zdekonspirowało się i zlegalizowało się, co ich wkrótce miało poprowadzić prostą drogą do... kozy.


Przez cały ten czas spotkałem Ziuka tylko przełotnie w Warszawie, gdzie się konsekwentnie konspirował, nie występując nigdzie publicznie. Pochłonięty był sprawami Organizacji Bojowej i mówił o dalszym rozwoju walki rewolucyjnej.

Powróciłem do Galicji w przedędziu VIII zjazdu P. P. S., który miał się odbyć w lutym 1906

dzie, poraz pierwszy go słuchający i wcale go nie znający.

Pamiętamy, jak jakiś młody delegat z Pabjanic czy Zduńskiej Woli, akurat siedzący przedemną, odezwał się półgłębkiem:

– Weale dobrze mówi, ale straszny mantyka...
Kto to taki?...


I zjazd przyjął olbrzymią większością stanowisko Ziuka w sprawie Organizacji Bojowej, co było niezaprzeczonym zwycięstwem „starych”. Na tomii w kwestcjach programowych przyjęto uchwały dość mętnie. Wprawdzie hała niepodległości z programu nie usunięto, ale uczyniono je zupełnie nierealnym. Uchwały bowiem brzmiały: 1) Partya dąży do utworzenia Niepodległej Republiki demokratycznej. 2) Partja uznaje, że w dzisiejszym okresie rewolucyjnym niema warunków, umiłoświących zdobyście niepodległości i wobec
tego w dzisiejszej rewolucji walki o zdobycie niepodległości nie prowadzi. 3) Partia odrzuca myśl o powstaniu narodowem (wojnie polsko-rosyjskiej) jako utopijną. 4) Partia prowadzi obecnie, wraz z proletarjatem całego państwa rosyjskiego, solidarną walkę rewolucyjną, której celem jest: obalenie caratu i stworzenie na jego gruzach ustroju federacyjno-republikańskiego; stosunek federacyjny ustanowi Konstytuantę Warszawska w porozumieniu z Konstytuantą Petersburską”.

To też my „starzy” rozjeżdżaliśmy się ze Lwowa pod wrażeniem nieuniknioności rozłamu partyjnego. Rozłam ten nastąpił rzeczywiście w listopadzie 1906 r. na IX zjeździe P. P. S. w Wiedniu. Nie byłem na nim, więc nie mogę ocenić wystąpień Ziuka, który bronił Organizacji Bojowej, jako jej kierownik, przed wystąpieniami „lewicy” Zjazd zakończył się, jak wiadomo, wykluczeniem z partii członków Wydziału Bojowego z Ziukiem naczele i wszystkich ich zwolenników.

Natychmiast po zjeździe wiedeńskim na konferencji w Krakowie utworzyła się Frakcja Rewolucyjna P. P. S., która nawiązała nici tradycji dawnej, integralnie niepodległościowej Polskiej Partii Socjalistycznej i, jak wkrótce można było stwierdzić, skupiła w swych szeregach olbrzymią większość robotników, zorganizowanych w przedrozłamowej P. P. S. Zaraz po konferencji krawkowskiej wyjechałem nielegalnie do Warszawy i tam objąłem redakcję tajnie drukowanego „Robotnika”. Na tem stanowisku znów stykałem się z Ziuakiem, który wprawdzie nie wszedł do C. K. R.-u Frakcji i kierował w dalszym ciągu Organizacją Bojową, ale był od czasu do czasu na posiedzeniach C. K. R., w których brałem udział ex offo jako redaktor „Robotnika”.

Spotkania te nie były częste. Ziuak na tych posiedzeniach bywał krótko i ograniczał się do paru uwag w sprawie tego czy innego artykułu, albo zabierał głos autorytatywny co do pewnych wystąpień partii. Zapamiętałem pewne jego dłuższe przemówienie z okazji dyskusji nad artykułem, mającym określić stosunek P. P. S. do narodowo-demokratycznego projektu autonomii Królestwa Polskiego, wniesionego do Dumy. Ziuak podkreślał konieczność, jak się wyraził, „postawienia sprawy polskiej” na forum europejskim i niedopuszczenia do jejzejzicia z porządku dziennego. W możliwość uzyskania autonomii przez Dumę nie wierzył i stał konsekwentnie na stanowisku bojkotu
wyborów do Dumy, czego się też trzymała aż do końca i nasza partja, gdy tymczasem Lewica P. P. S. oraz Socjaldemokracja Królestwa Polskiego i Litwy zeszły z pierwotnego stanowiska bojkotowego.

Zajmowały go jednak przedewszystkim sprawy Organizacji Bojowej, więc komunikował nam jej plany i omawiał projekty akcyj, przez nią albo przez nas wysuwane. Ukrywał się w Warszawie, ale nikt z nas ani jego adresu nie znalazł, ani nie interesował się nazwiskiem, pod którym był zameldowany.


Reakcja porewolucyjna, srożąca się zwłaszcza na ziemiach polskich i znacząca swój pochodzenie zsiątkami szubienic, tysiącami aresztowań i deportacji oraz rozwojem próbkacji, wywołała stopniowe kurczenie się organizacyj partyjnych. Najdzielniejsi towarzysze ginęli na stokach Cytadeli, inni przebywali za kratami lub na zesłaniu. Pozostali na wolności działacze partyjni wobec rozkonspirowania się i coraz mniej sprzyjających warunków działalność nielegalnej musieli uciekać za kordon. I znowu, jak przed rewolucją 1905 r., w Galicji skupili się emigranci, i znowu tam powstała baza operacyjna dla wszystkich poczynań w zaborze rosyjskim. Z Galicji – z Krakowa i Lwo-
wa oddziaływała nań i przywódcy Frakcji Rewolucyjnej, która na drugim swym zjeździe w Wiedniu w r. 1909 powróciła do dawnej nazwy P.P.S. bez żadnych dodatków. W Galicji osiadł na stałe również i Ziuk. Ja też mieszkałem w Krakowie, redagując tam aż do wybuchu Wielkiej Wojny „Robotnika” i inne organa agitacyjne P.P.S. oraz miesięcznik teoretyczny „Przedświt”.

W tym okresie stosunki moje z Ziukiem były bardzo ścisłe, czasami niemal codzienne, o ile nie wyjeżdżał z Krakowa na czas dłuższy.


Jeden z najwybitniejszych lekarzy krakowskich (Rutkowski, jeśli się nie mylę) powiedział mu kiedyś, że pierwsza influenza może go zgubić i że nie ma mowy o jazdach „na tamtą stronę” – t.j. do zaboru rosyjskiego. Ta diagnoza bynajmniej nie wpłynęła na zachowanie się Ziuka. Podawne-


Ziuk, przebywając w Krakowie, bardzo często widział szpiegów rosyjskich, podejrzewając o funkcje szpiegowskie rozmaitych typy, spotykane na ulicach. Zapewne, nie brak było wówczas szpiegów rosyjskich w Galicji, ale podejrzenia Ziuka, jak również i innych pps-owców, emigrantów z zaboru rosyjskiego, były mocno przesadzone i często na niczem nie oparte. Pewnego razu np. szłaśmy plantami w pobliżu dworca kolejowego i spotkałyśmy się z mądrą brunetą o dużej brodzie. Ziuk wskazał mi na niego, mówiąc: – Jest to napewno szpieg rosyjski...

Ponieważ postać tę spotkałem już kilka razy i zapamiętałem ją z powodu charakterystycznego wyglądu, przeto postanowiłem dotrzeć do prawdy. Niebawem też przez towarzyszy miejscowych dowiedziałem się, że ów domniem... „szpieg” był
Galicjaninem, kolejarzem i na żadne podejrzzenia nie zasługiwał.

Ta przesadna podejrzliwość cechowała Ziuka wyłącznie w stosunku do świata zewnętrznego. natomiast w sferze partyjnej był pod tym względem niezmiernie poświętny i ostrożny, choć zdemaszowanie Azefa i całego szeregu prowokatorów w rosyjskim ruchu rewolucyjnym wywołało pewnego rodzaju panikę i przesadną, nieraz wprost chorobliwą, podejrzliwość. Tak np. w kołach P.P.S. poczęła się szerzyć pogłoska, że jeden z działań krajowych, K. jest prowokatorem. Z czasem wyjaśniło się, że pogłoska ta na niczem nie była oparta i że ów K. był jednostką ideową, ofiarą i czystą ponad wszelką wątpliwość, ale na razie podejrzenia, wywołane lekkomyślnie szerzeniem pogłoskami, podzielane były nawet przez takie jednostki jak B. Jędrzejowski (Baj). Ja osobiście podejrzeń tych nie podzielałem i K. brońłem. Kiedym spytał Ziuka, czy sądzi, że K. jest szpiegiem, powiedział mi, że w to nie wierzy i tego nie przypuszcza.

Ziuk dość często przebywał w Zakopanem i nawet mieszkał tam przez czas dłuższy, zwłaszcza, że Zakopane stało się od pewnego czasu niejako do-

1906-1909 „Ziu k”

meną wpływów P.P.S., gdy dawniej, przed wojną rosyjsko-japońską, przez szereg lat rej wodzili tam narodowi demokraci. W Zakopanem odbywały się nasze konferencje partyjne, tam osiedlił na dłuższy czas działacze partyjni, niedomagający na płucu, jak Jędrzejowski, F. K. Prauss, tam mieszkały rodziny „nielegalnych” z zaboru rosyjskiego, tam wreszcie można było wywierać wpływ na licznych przyjaznych z zaboru rosyjskiego, z czego Ziuk wydatnie korzystał.

Do jego izby w chałupie góralskiej na drodze do Poronina widzieli na przykład ludzie, głównie członkowie i sympatyści P.P.S., ale również i dalej stojący inteligenci z zaboru rosyjskiego. Spotykano się z nim i w lokalach publicznych. Kiedyś w „Morskiem Oku” został urządzony „bankiet” (jeśli można tak nazwać zebranie około 30 ludzi przy skromnej kolacji), na którym był cały szereg działaczy partyjnych nie tylko z P.P.S. zaboru rosyjskiego, ale i z P.P.S.D. Galicji i Śląska (między innymi Daszyński). Wszyscy byli w nastroju wesołym. Na samym początku biesiad „Michał” (Sułkiewicz) wyrwał się z przemówieniem ku czci poległych towarzyszy. Ziuka to oburzyło, więc zgromił po przyjacielsku „Michała”
za to wprowadzenie ponurego zgrytu w wesoły nastrój i mówił o przyszłości ruchu i przyszłych walkach. Przy tej sposobności bardzo dowcipnie pokpiwał z niedorzecznego stosowania materjalistyckiego pojmowania dziejów przez niektórych socjalistów zachodnioeuropejskich i opierania na tej formule zarzutów przeciwko hasłu niepodległości Polski. Niektórzy z jego powiedzeń były tak dowcipne i trafne w swej zjadliwości, że większość z nich podziwiała się ze śmiechu i długo później wspominała ten wieczór.

Jak już wspomniałem wyżej, reakcja perełucyjna, zwłaszcza w Królestwie, doprowadziła do skurczenia się roboty partyjnej nawet agitacyjnej nie mówiąc już o bojowej. Organizacja Bojowa wprawdzie trwała i nawet dokonywała efektownych czynów pojedynczych, ale o dalszej pracy w kierunku ubojowienia mas nie mogło być już mowy. Tem bardziej, że całe kierownictwo bojówki P.P.S. znalazło się na emigracji w Galicji i stamtąd musiano organizować poszczególne akcje bojowe na terenie zaboru rosyjskiego. Akcje te zresztą były coraz rzadsze i posiadały prawie wyłącznie charakter „pieniężny”, przyczem wpływy z tych źródeł ustawicznie malały. Tymczasem u-

trzymywanie dość silnego liczebnie kierownictwa Organizacji Bojowej stawało się coraz większym ciężarem dla partii, tem bardziej, że w jej szeregach pogłębiało się coraz bardziej przekonanie o anachronistyczności utrzymywania bojówki w dotychczasowym jej charakterze. Trzeba więc było ją zlikwidować, co też wymagało znaczących środków pieniężnych. Stąd konieczność przygotowania i przeprowadzenia jakieś wielkiej akcji, która – z jednej strony umożliwiała tę likwidację, z drugiej zaś pozwoliła partii wejść na nowe drogi. Zadania te stały się na pewien czas główną troską Ziuka.

W największej tajemnicy nawet przed najbliższymi towarzyszami z „cywilnego”, że tak powiem, kierownictwa partii przygotowywano plany takiej akcji. Ziuk od czasu do czasu znikał. Jego dłuższą nieobecność staraliśmy się upozorować w rozmaity sposób, wiedząc, że jest zajęty przygotowaniami do swej wielkiej akcji, którą chce kierować osobiście. Wreszcie akcja ta została dokonana w połaci słynnego napadu na pociąg pocztowy pod Bezdanami we wrześniu 1908 roku.

Rezultaty pieniężne tej akcji rozwijały kierownictwu partyjnemu ręce. Bojówka została w cią-
L. Wasilewski: Józef Piłsudski jakim Go znałem

gu pewnego dłuższego czasu – nie bez tarć – zlikwidowana i Ziuk całą siłą pary przystąpił do wykonywania oddawna już posiadanego planu, stanowiącego najzupełniejsze „novum” w partii.

Plan ten wynikł u niego z rozważania przyczyn klęski ostatniej rewolucji i z głębszych studiów spraw wojskowych, które prowadził, jak już wiemy, od czasu wojny rosyjsko-japońskiej.

W sprawie klęski rewolucji jego rozumowania, którym się z nami dzielił, miały tok następujący. Rewolucja, zwłaszcza w Polsce, długoletnią pracą agitacyjną i organizacyjną P.P.S. przygotowała olbrzymie siły moralne, które w momencie klęski wojennych caratu przewyższały te siły moralne, jakiemi on rozpędzał. Klęski wojenne odsłoniły zgniliznę rządów carowskich i podkopały autorytet ich administracji nawet w rdzennnej Rosji, coż dopiero mówić o „kresach”, gdzie autorytet ten za- wsze był słaby. Pod względem moralnym przewaga była niewątpliwie po stronie rewolucji. Ale tego nie wystarczało do zwycięstwa. Carat rozpo- rządał siłą fizyczną – wojskiem – i ono rozstrzygnięło sprawę na niekorzyść rewolucji, która nie zdobyła wojska moralnie, a fizycznie nie mogła się z niem mierzyć. Siła moralna rewolucji była gro-

madzona i hartowana w ciągu szeregu lat, kiedy o praktycznej walce rewolucyjnej konkretnie je-
szcze nie myślo, jako o czemś jeszcze dalekiem. Siłę fizyczną budowano dopiero w momencie, kie-
dy ją trzeba było zużywać w walce, narzucanej przez okoliczności, a więc zapóźn. I siła ta oka-
zała się zbyt słabą dla zlamania potęgi wojskowej caratu. Stąd wniosek praktyczny: do zwycięstwa potrzebna jest siła fizyczna i umiejętność prowadzenia walki z przemocą fizyczną, którą carat po-
śle przeciwko rewolucji.

Poglądy owe stały się źródłem tego, co Ziuk nazywał „agitacją militarną”. Ta ostatnia polegała na nakłanianiu wszystkich towarzyszy do uczenia się rzemiosła wojskowego, do studiowania literatu-
ury wojskowej, do wysunięcia na plan pierwszy wszystkiego, co było związane z walką fizyczną, bronią, wojskiem i t. p.

Do tych rzeczy Ziuk zapalał się coraz bardziej i z całą pasją propagował na „militaryzm”, jak nazywano te poglądy, swe otoczenie.

Sam sposób propagowania tych nowych poglą-
dów w kołach partyjnych posiadał pewne cechy, które, zamiast jedenać uznanie dla tych poglądów, często zrażały ludzi do nich. I to nawet ludzi, oso-
biście bardzo dobrze dla Ziuka usposobionych. Od-
grała tu pewną rolę właściwa mu przekora, na-
kazująca przeciwników w sposób bardzo ra-
dykalny panującym uprzednio poglądom — po-
glądom, podzielonym i przez niego samego. Baj
(Jedrzejowski) nazwał to kiedyś metodą „prze-
ginania luku w przeciwną stronę” i nazwa ta dla
określenia występowania Ziuka do pewnego stop-
nia utarła się, tak, że, i on sam nickiedy przyznawa-
wał jej słuszność nawet żartobliwie.

Na mnie osobiste ta metoda również oddzia-
łała ujemnie, budząc pewnego rodzaju opór.
Jakoś jednak mistrz konwoktałem jakiś tam kurs
„wojskowy” t. j. wysłuchałem serii obowiązko-
kowych wykładów i nie unikałem nawet ćwiczeń,
no jednak pozostałem „cywilem” w pełnym zna-
cieniu tego słowa, do „militaryzmu”, nie zapa-
liłem się, później do „Strzelca” nie wstąpiłem
i nawet na wojnę poszedłem jako „cywil”.

Ziuk naturalnie nie ograniczał się samą propa-
gandą „militaryzmu”, ale w dalszym ciągu stu-
djował sam dyscypliny wojskowe, organizował wy-
kłady wojskowe, dawał inicjatywę do tworzenia
polskiej literatury wojskowej, przeprowadzał ćwi-
czenia wojskowe, w których brał czynny udział

i t. d. Charakterystyczne, że z rozpoczęciem prak-
tycznych studiów wojskowych dziwna zmiana za-
szła i w stanie zdrowia Ziuka. Teraz wstawał, je-
śli tego było potrzeba, o świecie i podążał na ćwi-
czenia wojskowe bardzo wczesnym rankiem, dając
tem przykład punktualności i obowiązkowości mło-
dym.

W swej propagandzie militarnej Ziuk znalazł
daleko wdziewniejszy grunt we Lwowie niż w
Krakowie. To też coraz częściej i dłużej przebywa-
w w tym pierwszym mieście, powracając do Kra-
kowa na odpoczynek, i wręczając się tu Sławn-
kiem, który odrazu fanatycznie przejeżdżał się pół-
łami i nawet metodami Ziuka, nie wyłączając o-
wego „przeznaczenia luku w przeciwną stronę”.

Z wyżej wymienionych powodów kontakt mię-
dzy mną i paru innymi towarzyszami z Wydziału
Zagranicznego P.P.S. a Ziukiem nieco się w tym
czasie nadwyrężył. Do tego przyczyniły się zresztą
i inne okoliczności. Należał przyjściom do Ziu-
ka, prawie zawsze zastawałem go grającego w
szachi z niejakim B. lub S. W każdym razie dwaj
ci goście — nie tyle Ziuka, co pani Marji, jego żo-
ną, zawsze tam byli obecni. Ponieważ zaś S. był
„lewicowcem”, a B. też nie był człowiekiem, wobeć
którego można było szczerze i otwarcie mówić o sprawach partyjnych, więc się o nich nie wspominało, choć się przychodziło do Ziuka właśnie na rozmowy, ścieśle z tematami życia partyjnego związane. Powoli więc niektórzy towarzysze przestawali u niego bywać, co przyczyniło się zwolna do nadwątlenia stosunków i – skutkiem tego – niekiedy do nieporozumień. Winę tego ponośila głównie oni Marja, na którą też nieraz dąsaliśmy się.

Pani Marja była niewątpliwie osobistością wybitną. Zdolna, szybko orientująca się, wymowna, oddana sprawie, potrafiła wywierać wpływ na otoczenie, zwłaszcza że warunki zewnętrzne (zwaną ją „piękną Panią”) wielki zmysł towarzyski i wesołe usposobienie bardzo jej to ułatwiały. W Krakowie spędzała czas w ustawicznym wirze towarzyskim, z nadzwyczajną gościnnością przyjmowała znajomych, odwiedzających Ziuka, wieczory do późna spędzała w kawiarniach i starała się nie odstępować męża nigdy, o ile to tylko było możliwe. Początkowo Ziuk towarzyszył jej do kawiariń, ale później począł się buntować. Kiedy ona chciała pozostać w „Secesji” czy u „Michalika” dłużej, nieraz poza północ, Ziuk w pewnym mo-

118

nieniu wstawał i siedział sam do domu. Na tem tle nastąpiło pewne oziebienie stosunku Ziuka do żony, starannie ukrywane przezeń wobec najbliższych nawet przyjaciół, Ale tego się ukryć nie dało.

Po pewnym czasie Ziuk zorientował się, że rozluźnienie kontaktu z szeregiem najstarszych i szcze odanych towarzyszy odbija się ujemnie i na jego poczynaniach. Nie informowani bowiem dokładnie przezeń o biegu jego robót „millitarowych”, nie mieliśmy dostatecznego zasobu argumentów dla zwalczania szerzących się plotek i sąsiedzeń, które mogły wywołać niepożądaną konsekwencje w kołach partyjnych, będących jednak najwidoczniejszym i jedynie pewnym polem działalności Ziuka. Postanowił więc temu zaradzić za pomocą wyjaśnienia sytuacji na specjalnym zebrańiu najbliższych przyjaciół.

Takie zebranie odbyło się w mieszkaniu Baja. Byli na niem – poza gospodarzem i Ziukiem – Witold Jodko, Feliks Perl, Aleksander Malinowski, Władysław Dehnel, Aleksander Sulikiewicz i ja. Ziuk wypowiedział się na tem zebraniu zasadniczo o konieczności tej roboty wojskowej, którą roz-
począł – głównie na gruncie lwowskim. Wskazywał na jej wielką wagę na przyszłość, przy wznowieniu ruchu rewolucyjnego w sprzyjających warunkach i zakończył kategorycznym żądaniem, abyśmy się wypowiedzieli zasadniczo w tej sprawie. Uważał ją bowiem za wyjątkowo trudną i wymagającą dużych wysiłków. – Jeśli wy mnie nie poprzecie – mówił – w takim razie będę musiał dać temu spokój, bo bez waszego poparcia nie dam sobie rady.

Chodziło tu o poparcie roboty „militarnej” Ziuka wewnątrz partii, gdzie gromadziła się coraz większa suma niezadowolenia z pewnych posunięć na terenie tej właśnie roboty. Ścisłe zorganizowanych towarzyszy razilo to zwłaszcza, że do tego działu pracy wciągano jednostki i z poza partii, jakkolwiek demokratycznie i radykalnie usposobione, nie mniej jednak nie należące do organizacji partyjnej. Następnie rodziły się obawy, że skoncentrowanie uwagi na pracy „militarnej” zagranicą może osłabić właściwą robotę partii – organizatorską i agitacyjną – wśród mas robotniczych na terenie zaboru rosyjskiego. Stąd coraz szerzej rozpowszechniające się pogrószy, że P.P. S. zrywa z całą swoją tradycją robotniczo-socjalistyczną, że dąży kosztem zatrzytym swego charakteru klasowego do przekształcenia się na partię rewolucyjną ogólnonarodową i t. d.

Tym żałom dał najwymowniejszy wyraz na owym zebraniu Perl, ja również wyraziłem obawę, czy zbyte ścisłe współdziałanie z lwowskimi postępowymi demokratami i wogóle z żywiołami niesocjalistycznymi nie doprowadzi do osłabienia charakteru socjalistycznego P. P. S. Wskazałem przytem na coraz głośniej szerzące się słuchy, jakoby P. P. S. miał nawet formalnie przekształcić się na jakieś stronnictwo narodowo-revolucyjne, szukające w dodatku kontaktu z Narodową Demokracją dla wspólnej akcji „militarystycznej”. Sułkiewicz również podzielał te obawy, powołując się na pewne powiedzenia „militarystów”. Baj i Jodko starali się wnieść nastrój ugodowy.

W odpowiedzi na wszystkie te żale Ziuk zabrał głos, zarzucając nam nieuzasadniony brak zaufania do prowadzonej przez niego roboty, która w niczym nie ma naruszać ani charakteru partii, ani jej zasadniczych dążności. Mówił, że wciąganie żywiołów niesocjalistycznych do roboty „militarnej” raczej te żywioły poddaje wpływom P. P. S. niż odwrotnie.

Dyskusja trwała czas jakiś. Zabrałem głos po-
róz drugi, użalając się na stosunki, które wytwarzają sytuację, pozбавiającą nas, krakowian, kontaktu z Ziukiem i możliwości porozumienia się z nim w najważniejszych sprawach bezpośrednio. Zebrań skończyło się oświadczeniem naszemu, że będziemy bezwzględnie popierali "militarystyczne" prace Ziuka i bronię jego stanowiska wobec towarzyszy. Tylko Perl zajmował w dalszym ciągu stanowisko krytyczne wobec roboty "militarynej" i, jakkolwiek uznawał jej potrzebę, to jednak nie dał się przekonać, że jej rozwój nie odbije się na działalności partyjnej i jej charakterze socjalistycznym ujawnie.

Rozeszliśmy się z postanowieniem dawania Ziu-kowi wszelkiej pomocy w rozpoczętej przezeń akcji i łagodzenia tarć, na tem podłożu wynikłych.

Co do mnie, to ścisłe trzymałem się powziętego na tem zebraniu postanowienia. W redagowanym przez siebie "Robotniku" uwzględniałem tendencje "militaryne", popularyzowałem w odczytach poglądy Ziuka. Napisałem uzupełnienie statystyczne do jego "Geografii militarynej Królestwa Polskiego", które partia wydała w r. 1910 jako kolejną książeczkę "Biblioteczki popularnej Życia". Zapisywałem jego wykłady na szkołach partyjnych, które w tym czasie były organizowane we Lwowie i Krakowie i t.d. Wykłady zapisywałem m. stenografując, ale możliwie trzymając się ich do słownego brzmienia i potem opracowując literaco. W ten sposób powstały "Zadania praktycznych rewolucji w zaborze rosyjskim", które drukowano w NN. 243-247 "Robotnika" (III-IX.1910) i które wyszły również w "Biblioteczki popularnej Życia" w Krakowie (1910).


Jednocześnie sytuacja międzynarodowa wskazywała, że moment historyczny, usprawiedliwiający całą tę robotę, zbliża się szybkimi krokami. Trzeba było myśleć o bezpośrednich przygotowa-
niach do wsiącej w powietrzu wojny, o koordynacji sił i powstających niezależnie od P.P.S. ośrodków pracy militarnej, która się stawała coraz popularniejszą w szerszych kółach społeczeństwa.

Ziuk, będący w tym czasie członkiem C. K. R.-u, jednocześnie wyrastał na kierownika całego ruchu niepodległościowego. W założonej z inicjatywy P.P.S. w r. 1912 Komisji Tymczasowej Skonferowanych Stronnictw Niepodległościowych jego autorytet jako promotora przygotowań militarnych nie budził niczyjej wątpliwości.

Biorąc czynny udział w pracach Komisji Tymczasowej jako szef jej biura pracowego i zastępca sekretarza (dra Witolda Jodki), widziałem, jak słowa Ziuka przyjmowane były przez reprezentantów poszczególnych stronnictw niepodległościowych. Imponował on im swoją wiedzą, swem zerknięciu traktowaniu zagadnień bieżących, a zarazem trzeźwym realizmem i rzeczowością argumentów. Występował jako reprezentant Związków Strzeleckich, ale jego przemówienia przekraczały zakres zadań, z tem jego stanowiskiem związanych. Tytuł Komandanta, wchodzący w tym czasie coraz bardziej w użycie, nabierał coraz ważniejszego znaczenia, rozumiano bowiem, że

Ziuk czy Mieczysław (ówczesny jego pseudonim) staje się Komendantem już nie samego tylko Strzelca, który rozwijał się, przełamując z wielkim moźdzem wszelkie trudności finansowe i organizacyjne oraz szykany władz austriackich.

Wychodziliśmy kiedyś z posiedzenia Komisji Tymczasowej – Ziuk, Daszyński i ja – i na rogu ulic Dunajewskiego i Karmelickiej spotkaliśmy strzelca w mundurze, niczo różniącym się od zwykłego ówczesnego munduru strzeleckiego. Strzelec ten nioś w ręku szpicrute. Ziuk, wskazując nań Daszyńskiemu, rzekl, uśmiechając się: – Oto cała moja kawalerja... Konia mu tylko jeszcze brakuje...

Strzelcem tym był Belina-Prażmowski, słynny po wybuchu wojny zagończyk legjonowy i właściwy twórcą pierwocin kawalerji polskiej.

Wojna wybuchła wcześniej, aniżeliśmy się wszyscy tego spodziewać. Przed Ziukiem – Komendantem stanęły nowe zadania, które miały go z czasem wysunąć na czoło narodu.
Bezpośrednio po historycznym zebraniu Komisji Skonfederowanych Stronnictw Niepodległościowych, dn. 6 sierpnia 1914 r., na którym Komendant oświadczył zdumionym zebranym, że w Warszawie utworzył się Rząd Narodowy, któremu się on podporządkowuje, Komendant zwrócił się do mnie z wyrazami:

– Chcę, abyś „narukował”...
– Kiedy?
– Zaraz...
– Dobrze...


Kiedy po owem zebraniu K.S.S.N. znaleźliśmy się w ściśle „swojem” gronie w mieszkaniu Walerego Sławka przy ulicy Dunajewskiego, pierwszym zleceniem, jakie otrzymałem od Komendanta, była propozycja napisania odezwy owego „Rządu Narodowego” i sporządzenia do niej pieczątki z orłem i odpowiednim napisem.
O ile pierwsze nie nastręczało żadnej trudności, o tyle to drugie nie było rzeczą łatwą. Odezwa została napisana i zaaprobowana przez Komendanta, następnie zaś wydrukowana konspiracyjnie w Drukarni Ludowej na specjalnie dobranym papierze. Pieczątkę podjął się wykonać w ciągu nocy towarzysz Stanisław Siedlecki („Eustachy”) – późniejszy senator Rzeczypospolitej, który istotnie za pomocą zwykłego scyzoryka wydlubał w miękkim kamieniu zgrabnego orzelka wraz z odpowiednim napisem.

Żadnych kwestij, związanych z owym „Rządem Narodowym” w Warszawie, nikt z nas nie podniósł, choć przypuszczaśmy, że była to konieczna – ze względu na sytuację – mistyfikacja, tembardziej, że, mówiąc o tym „rządzie”, Komendant miał wyraz oczu dość figlarny. Wówczas mieliśmy bezwzględne zaufanie do akcji Komendanta, a pozatem przejęliśmy się zupełnie serio poczuciem obowiązku stosowania się bezwzględnego do jego rozkazów. Wkraczaliśmy już bowiem w okres wojny i związanej z nią dyscypliny, a Komendanta uważaliśmy za naczelnego wodza powstania.


Kiedyśmy dotarli do Miechowa, pokazaliśmy się, że nasza drukarnia jest zupełnie zbyteczna wobec istnienia we wszystkich miasteczkach powiatowych Królestwa drukarzy, w których można było z łatwością bić odezwę, co też wyzyskiwaliśmy niebawem w całej pełni, robiąc agitacyjne „szurumburum”, jak nazywał Komendant moją działalność w tym kierunku, rozmawiając z Marjanem Abramowiczem.

Po wkróceniu do Królestwa poraz pierwszy
spotkałem się z Komendantem w Jędrzejowie, do-
kąd przyjechał jakoś mocno po północy. Zbudzo-
no nas wszystkich „cywilów” na zbiórkę. Komen-
dant przeszedł utworzonym przez nas szpalerem
z miną okrutnie marsową, która jednak znikła z
jego oblicza natychmiast, kiedyśmy się znaleźli w
osobnym pokoju w gronie zupełnie „swoich”. Przed
nami był teraz nie „wódz naczelný”, nawet nie
Komendant, ale ów dawny Ziuk, o dobrodusznym,
wojowym uśmiechu.

Po krótkim przeglądzie sił w Jędrzejowie Ko-
mandant wyjechał i następnym razem widziałem
go już w Kielcach, w parę chwil po wkróceniu
oddziału strzeleckiego do tego miasta w dniu 12
sierpnia. Jechał z wizytą do biskupa Łośnińskiego,
traktując go jako najwyższego w mieście dostoj-
nika. Nie zetknąłem się z nim wówczas osobiście.
Zresztą wyjechał on z Kielc niezwłocznie do Kra-
kowa i spotkałem się z nim dopiero nazajutrz, pod-
czas odwrotu z Kielc, pod Chęcinami, gdzie spot-
kał nas z większymi siłami i przygotowywał się do
pierwszej poważnej bitwy z nadciągającymi od-
działami rosyjskimi.

Zameldowałem się u Komendanta i oświad-
czyłem, że jako cywil nie mam tu na razie nic do
roboty, więc chyba odmiaszeruję sobie do Jędrze-
jowa, na co się on też zgodził. Otrzymawszy od
szefa sztabu, Sosnkowskiego, odpowiednią prze-
pustkę, udałem się do Jędrzejowa i tam znowu w
najbliższych dniach spotkałem się z Komendantem.

Komendant kładał wielki nacisk na to, aby do
szeregów wciągano jak najwięcej żywiołów partyj-
nych, ppowskich. Zalecał nam (między innymi
Perlowi), aby wznowić pracę partyjną, wciągnąć
jaknajwięcej ludzi do organizacji partyjnej i tą
drogą wprowadzać ich do szeregów wojskowych,
 uważając, że te żywioły przedstawiają wśród
ochotników największą wartość ideową. Dlatego
też chętnie zwalniał z wojska jednostki do poli-
tycznej pracy agitacyjnej – i to nietykł w P. P. S.,
ale i w Narodowym Związku Robotniczym.

Po powrocie do Kielc, gdzieśmy się zagospo-
rowali na czas dłuższy, objąłem redakcję „Dziennika
Urzęgowego Komisarzatu Wojsk Polskich”,
drukowanego w rządowej rosyjskiej drukarni, któ-
rzą na poczekaniu przekształciliśmy na polską
„Drukarnię Państwową”. Jakkolwiek staraliśmy
się wytworzyć jaknajwiększe „faktów dokonanych”,
mających stwierdzić, że my jesteśmy właściwymi
gospodarzami zajętej przez nas połaci kraju, to
jednak czuliśmy, że sytuacja jest mocno niepewna
politycznie.

Z dnia na dzień oczekivaliśmy przeto zarządzeń
władz austriackich, uniemożliwiających działalność
potworzonych przez nas Komisarjatów Wojsk
Polskich jako samodzielnych organizacji politycz-
nych. Trzeba się więc było do tego zawczasu przy-
stosować. Z tego powodu Komendant zwołał pew-
nego dnia ściśle zakonspirowane zebranie w Pały-
cu Gubernatorskim. Wzięli w nim udział: M. So-
kolnicki, W. Jodko, Stanisław Thor, Al. Sulikiewicz
ja i jeszcze może dwie-trzy osoby, których sobie
nie przypominam. Po przedstawieniu sytuacji o-
gólnej i sytuacji w Naczelnym Komitecie Na-
dowym Komendant dowodził konieczności wytво-
renia takiej miejscowej organizacji, którejby
władze austriackie znieść nie mogły. Musi to być
organizacja, złożona z ludzi koniecznie miejsco-
nych, nie Galicjan, dość skromna liczebnie. Ma
ona rozwijać czynności swe, nie wywołując wraże-
nia wielkiej siły. Faktycznie ma działać w związku
z organizacją wojskową, ale nazewnąt brzmić nie-
żależną od niej. Jej praktycznym celem ma być
wytworzenie przedstawicielswa zaboru rosyjskie-
go z ludzi, dobieranych na podstawie znajomości

stosunków miejscowych. Trzeba ułożyć listy
osób, odpowiadających naszemu celowi. Organi-
zację należy budować od dołu do góry według na-
stępującego schematu: 1. Komisarz miejscowy
kierownik całej administracji; 2. Komisarz po-
wiątowy. 3. Zarząd – komisja gubernijalna; 4.
Zarząd Główny – krajowy. Nazwa tej oragniza-
cji mogłaby brzmieć – „Organizacja pomocnicza
Wojsk Polskich” (O.P.). Trzeba będzie ogłosić,
że jest zupełnie niezależna od organizacji wojsko-
wej. Istniejące dotychczas Komisarjaty Wojsk
Polskich od razu mają się przekształcić na Komi-
sarjaty O.P. Zarząd główny O.P. składałby się
z 3-5 osób. Jako ciało doradcze przy ciałach wyż-
szych funkcjonowałyby jazdy komisarzy miejsco-
nych i jazdy komisarzy powiatowych.

Dla urzeczywistnienia tego planu zwołane zosta-
ło zebranie „cywilów”, współdziałających z od-
działem strzeleckim, ale samych nie-Galicjan,
wraz z szeregiem osobistości miejscowych, sympa-
tyzujących z naszym ruchem. Na tem zebraniu
założono planowaną przez Komendanta organiza-
cję, ale nadano jej nazwę Polska Organizacja
Narodowa (P.O.N.). Na czele jej stanęli: Witold
Jodko, Michał Sokolnicki i Iza Moszczeńska. Re-
dagowany przeznaczony „Dziennik Urzędowy Komisariatu Wojsk Polskich” został przekształcony z dniem 8 września na „Dziennik Urzędowy Polskiej Organizacji Narodowej”, który wychodził regularnie aż do powtórnego opuszczenia przez nas Kielc z dniem 10 września.

Komisarjaty P.O.N. ogarnęły wkrótce całą okupację austriacką i niemiecką, rozwijając żywą działalność organizacyjną, werbunkową i wydawniczą. Jednakże niepowodzenia armii austriackiej i ewakuacja Kielc, a później znacznej części Krakowa, okupowanego przez wojska austriackie i niemieckie, zmusiły działaczy P.O.N. do stopniowego wycofywania się z opanowanego już terenu.

Po ewakuacji Kielc tamtejsi działacze P.O.N. wraz z najbardziej skompromitowanymi pomocą,świadczeni Legjonom, jednostkami z miejscowego społeczeństwa znaleźli się na Śląsku austriackim. We Frysztacie, w willi pani Kunickiej, stanął sztab P.O.N. Na Śląsk przeniósł się i Departament Wojskowy N.K.N. wobec ewakuacji Krakowa, pod który zbliżali się stopniowo Rosjanie.

Ja po opuszczeniu Kielc czas jakiś przebywałem w Krakowie jako komisarz P.O.N. na Kraków, później w Częstochowie i Piotrkowie, gdzie jeszcze trzymały się organizacje P.O.N. i gdzie wychodziły jego organy. Mielismy informacje, że góruje się wielka ofensywa niemiecka na Warszawę, że w tej ofensywie wzmocni udział również oddziały legjonowe. W Częstochowie w związku z tym otrzymałem przez Sławka instrukcję Komendanta dla emisarzuszy, jadących do Warszawy.

Miały tam być wysłane przez front trzy osoby (w tym moja żona, należąca do oddziału wywiadowczego i Brygady) dla zakomunikowania kierownikowi roboty konspiracyjnej – „Witoldowi” (Tadeuszowi Żulisko) instrukcji co do zarządzeń cywilno-agitacyjnych i wojskowych z powodu oczekiwania zdobycia Warszawy. Ja miałem przeprowadzić rozmowę z Kunowskim i w razie jego zgody na wyjazd do Warszawy – zakomunikować mu co następuje:

1. Ostatnie rozkazy o rozrzuconiu ludzi z miasta na prowincję cofa się;
2. Komunikuje się datę zajęcia Warszawy przez Niemców;
3. Należy skrętnie przeprowadzić wywiad o wycofaniu się Rosjan i o minach (mosty, dwożec);
4. Należy wykorzystać ostatni moment i nie
dopusić do wysadzenia obiektów podminowanych, bądź niszczyć oddziały, pozostawione do wysadzenia, bądź wydobywając same miny;
5. Podczas przerwy między wyjściem Moskali a przyjściem Niemców należy obsadzić Zamek, Belweder i arsenal, oraz zabrać resztę broni po koszarach i wywiesić maximum sztandarów z biały orlem;
6. Wysłać na spotkanie Niemcom oddziałek ze sztandarem;
7. Szerzyć wieści, że tuż-tuż są nasi;
8. Wydać kartki, nawiązujące do serdecznego przyjścia żołnierzy polskich i manifestacyjnego ich spotkania przez deputacje ludności;
9. Wywołać pewne efekty (wysadzenie pomnika na Zielonym placu i t. p.)

Kunowski wyjechał z temi instrukcjami do Warszawy, ale, tak samo jak i moja żona – przybył tam już po odwrocie wojsk niemieckich, kiedy sprawa zdobycia Warszawy stała się na dłuższy czas nieaktualną.

Osiedliśmy na parę tygodni we Frysztacie, dokąd przyjechał jakoś w połowie listopada Komendant. Zatrzymał się w willi pani Kunickiej, zdaje się na jeden dzień. Były to czasy bardzo ciężkie. Pani Kunicka otrzymała od miejscowych władz austriackich wiadomość, że możliwem jest, iż Rosjanie wejdą na Śląsk przez Węgry, dokąd poczęli się wdzierać przełęczami karpackimi. Cała impreza legjonowa przedstawiała się w barwach dość ponurych i tylko niektórzy z nas, zgromadzonych we Frysztacie, nie tracili nadziei. Dąszyński, który się też tam owego dnia pobytu Komendanta znalazł, ubolewał nad dalszemi losami tego ostatniego.

– Cóż, będzie chyba musiał wyemigrować do Ameryki – powiedział z wielkim smutkiem.

Nalezałem wówczas (jak zawsze) do optymistów. Nie dawałem się b尼亚jnie opanować na strojom katzenjammerowym i żywo krztałem się koło wydawnictwa broszur P.O.N. w miejscowej drukarni. Widziałem też z zadowoleniem, że Komendant zupełnie nie traci otuchy i zachowuje dobry humor. Podczas obiadu u pani Kunickiej żartobliwie opowiadał o dobrodziejstwach, jakie mają na spásać z powodu otrzymania austriackiego odznaczenia wojskowego.

Niepowodzenia armii państw centralnych przyczyniły się do stopniowego zamierania P.O.N. Na zjeździe przedstawicieli tej ostatniej, odbytym w
Wiedniu w grudniu 1914 r. zapadła uchwała zła-
nia się jej z N. K. N.-em, przyczemkilku członków
P.O.N. miało wejść w skład jego. Sokolnicki objął
sektarjat generalny N. K. N. i wciągnią mir do
pracy N.K.N.-owej.
Pozałem więc w Wiedniu, gdzie podówczas
przebywał N.K.N., ewakuowany z Krakowa, i po
pewnym czasie objąłem stanowisko w redakcji
pisma propagandowego „Polen”, redagowanego
przez M. Goldscheidera, a inspawananego przez
prezesa N.K.N. profesora Władysława Leopolda
Jaworskiego.
W Wiedniu pod koniec grudnia zetknąłem się
przelotnie z Komendantem, na cześć którego
N.K.N. wydał bankiet. Na tym bankiecie nie by-
łem z braku odpowiedniego ubrania, przyjecha-
łem bowiem do Wiednia w napwpół wojskowym
french, który był jedyną moją szatą. Ale o ban-
kicie tym słyszałem dużo opowiadania. Charakte-
rystyczną była odpowiedź Komendanta Gustawo-
wi Daniłowskiemu, który podczas bankietu zabrał
głos i wypowiedział ubolewanie z tego powodu, że
człowiek, na którego są zwrócone oczy całego na-
rodu, naraża swe życie, walcząc w pierwszej linji
okopów. Komendant skarcił przedewszystkier-
Daniłowskiego, który, będąc żołnierzem, ośmiela-
się krytykować postępowanie swego przełożonego,
następnie zaś podniósł, że, jeśli społeczeństwo nie
mogło się zdobyć na coś większego jak ten legjon,
którego on jest komendantem, to i on musi speł-
niać obowiązki komendanta tej drobnej siły zbroj-
niej i nie może odgrywać roli wodza wielkiej armii.

Przez cały czas pobytu w Wiedniu t. j. aż do
powrotu N.K.N. do Krakowa w czerwcu 1915 r.
nie stykałem się bezpośrednio z Komendantem
i nie miałem z nim kontaktu osobistego nawet
pośrednio. Stosunki te wznowione zostały dopie-
ro po osiedleniu się mojem w Krakowie, gdzie
objąłem od lipca 1915 biuro Sekretarzatu gene-
ralnego N. K. N. i gdzie – poza tem – brałem
czynny udział w pracach „lewicy” N.K.N., popie-
rającej konsekwentnie działalność Komendanta i
jego zabieg w walce o polskość i możliwą samo-
dzielność Legionów.

Kontakt mój z Komendantem ożywił się znacz-
nie w roku następnym. Przebywającego wówczas
na froncie wołyńskim zaopatrywalem w in-
formacje wszelkiego rodzaju.
Stosunek między nim a N. K. N. zaogniał się
coraz bardziej, tak, że Komendant postanowił
wreszcie postawić ultimatum i wycofać swoich ludzi z Departamentu wojskowego. W tej sprawie otrzymałem od niego w końcu czerwca 1916 list następujący:

Pozycja pod Wołczeckiem 26/VI 1916.

Mój drogi,

List ten dasz do przeczytania Radlińskiej i w odpisie przeslij go do Ułrycha oraz do Piotrkowa do Pietrka.*

Za wszystkie raporty i listy serdeczne dzieki, cieszę się ogromnie, że możemy tak ścisłą komunikację pomiędzy sobą utrzymać i że w ten sposób ścisłej się wiąże wspólna praca.

Instrukcja jest następująca: Ułrych ma zaządzać odprawę obiecanej, koniecznie z przesłem, przynajmniej do 15 lipca, w przeciwnym razie 15 lipca wszyscy i urzędnicy i oficerowie podają się do dymisji. Jeżeli odprawę obiecają, wówczas zrobić (ustępstwo) i zostać do rozprawy. Jeżeli kogokolwiek do tego czasu wyrzuca, też ogólna dymisja.

*) Piotra Góreckiego.
W tym czasie Legjony krwawiły się na Wołyniu. Wielka ofenzywa Brusiłowa zwróciła się między innemi przeciwko pozycjom, bronionym przez legjonistów. Na początku lipca rozpoczęły się ostrutne boje, które trwały kilka tygodni. Dopiero pod sam koniec lipca, po rozprawie o Rudkę Miryńską nad Stochodem, legjony zaznały pewnego spokoju i Komendant wznowił, przerwaną przez walki w polu, akcję o samodzielność Legjonów, zakończoną w końcu września jego dymisją.

Po dymisji Komendant wrócił do Krakowa, do dawnego swego mieszkania na Szlaku, oczekując rezultatów swego kroku. I znowu wszedłem w bezpośredni z nim kontakt, bywając u niego prawie codziennie, informując o tem, co się dzieje w N. K. N. i t. d.


Podczas rumuńskiej ofenzywy Mackensena w r. 1916 bywałem prawie codziennie u Komendanta na Szlaku. Bacznie śledziliśmy na mapie postępy tej ofensywy, którą Komendant oceniał zupełnie beznamiętnie pod względem politycznym, wyłącznie ze stanowiska strategiczno-wojskowego. Przy tej sposobności poruszał sprawy ofenzywy wogóle i mówił, że ma zupełnie gotowy plan ofenzywy na Rosję, z którego – jak twierdził żartobliwie – Hindenburg powinien byłby skorzystać. Rozwijał też dość szczegółowo ten plan, co mnie przyznam się, mało interesowało – nie tylko jako laika w sprawach wojskowych, ale i w związku na zupełną nieréalność takiego planu w ówczesnej sytuacji. Pamiętam tylko, że poważną rolę w tym planie odgrywało zajęcie twierdzy bobrujskiej.

Wówczas wciąż szerzyły się pogłoski o „Separatism” między państwami centralnemi a Rosją. W związku z tem wyraźilem pewnego razu pogląd, że przy zawarciu pokoju odrębnego Rosja napewno zatrzyma tę część Wschodniej Ga-
lichii (Tarnopolszczyznę), która jej dotychczas nie została odebrana. Na to Komendant z całą stanowczością odpowiedział, że Rosja ani kawalka ziemi z zajętego Podola nie zatrzyma i będzie musiała je oddać.

Wkrótce potem został wydany akt 5 listopada i Komendant – ku powszechnemu zdumieniu – został mianowany z inicjatywy rządu austriackiego członkiem Tymczasowej Rady Stanu. Udał się też natychmiast do Warszawy, aby zająć to stanowisko.

Akt 5-go listopada był dowodem ostatecznego bankructwa austriackiej koncepcji rozwiązania sprawy polskiej. Rola N. K. N.-u była skończona, jakkolwiek większość jej członków nie mogła się z tem pogodzić. Oczywiście lewica N. K. N., zajmująca w nim stanowisko opozycyjne i idąca za Komendantem i jego wskazówkami, nie podzielała złudzeń większości enkaennyjowej i wysunęła z tego konsekwencje.

Z wystąpieniem lewicy z N. K. N. usunąłem się również z tej instytucji i zostałem wezwany przez Komendanta do Warszawy, na razie do pracy w Centralnym Komitecie Narodowym, który skupiał w sobie siły partyj lewicy Królestwa Polskiego – z P. P. S. na czele.

W Warszawie stanąłem w styczniu 1917. Zgłosiłem się u Sławka, który był mężem zufania Komendanta w C. K. N., i wziąłem się do pracy w tym ostatnim, zaopatrzony przez P. O. W. w falszywy paszport, umożliwiający mi pobyt na okupacji niemieckiej. Wkrótce jednak zoriento wałem się, że wobec nadmiaru inteligencji w C. K. N. nie dużo mam w nim do roboty, mógłbym więc zająć inne, pożyteczniejsze stanowisko. Poparty energicznie przez towarzysza Kunowskiego, członka Tymczasowej Rady Stanu, wszedłem jako urzędnik do jej departamentu politycznego i objąłem tam referat „statystyczny”

Pod tem mianem ukrywały się wszystkie sprawy kresowe i narodowościowe, którymi się teraz zająłem, gromadząc materjały i opracowania, dotyczące przyszłego rozstrzygnięcia spraw tych ze stanowiska państwowości polskiej. Jednocześnie brałem udział w pracach C. K. N. i w robocie P. O. W., pozatem informowałem o sytuacji w Królestwie centralną niepodległościową w Galicji, posyłając na ręce pani Heleny Radlińskiej do Krakowa wiadomości o tem, co się działo.
w obozie niepodległościowym okupacji niemieckiej, i byłem stałym korespondentem z Warszawy krakowskiego „Naprzodu”.

Z Komendantem stykałem się w Warszawie dość często, zwłaszcza jeśli miałem mu coś do zakomunikowania, albo też w razie konieczności zasięgnięcia języka u niego w jakiejś kwestii. Wpałałem do niego na Służewską, gdzie mieszkał z Sokolnickim, albo widywałem się z nim w pałacu Kronenberg'a lub odprowadzałem go stamtąd do domu, gawędząc na rozmaite tematy dnia po drodze.

Wybuch rewolucji w Rosji Komendant ocenił odrazu jako fakt niesłychanej doniosłości i punkt zwrotowy w całej naszej polityce. Rosja, jako najpoważniejsza siła w naszych obliczeniach politycznych, ten nasz wróg największy — na dłuższy przeciag czasu ustępowała z pola. W tym okresie można się było nie liczyć z bezpośrednim niebezpieczeństwem rosyjskim i należało teraz zwrócić całą energię przeciwo dwom innym okupantom. Komendant dziwił się, że ogół niepodległościowców nie zdaje sobie jeszcze z tego sprawy, i tłumaczył wszystkim z całym naciskiem znaczenie rewolucji rosyjskiej. Dla wyluszczenia le-

wiń konieczności zwrotu w polityce — zwrotu, uzasadnionego wypadkami w Rosji, zwitał do siebie, na Służewską, specjalne zebranie wybitnych działaczy-lewicowców, na którym wyłożył swoje stanowisko obszernie i z naciskiem. Na tem zebraniu byli, o ile sobie przypominam, Artur Śliwiński, St. Thugutt, W. Sieroszewski, M. Sokolnicki i inni.

Wiadomościami z Rosji począł się teraz interesować jeszcze bardziej niż poprzednio, wysuwając z nich pewne wnioski praktyczne.

W lecie 1917 r. prawie codziennie bywałem w lokalu Komisji Wojskowej przy ul. Mazowieckiej, gdzie Komendant wówczas urzędował i gdzie koncentrowało się załatwianie wszystkich poufnych spraw P. O. W. Pewnego dnia otrzymał numer „Nowej Reformy” krakowskiej z wiadomością, że na pierwszym zjeździe wojskowych Polaków w Rosji Komendanta obrano honorowym prezesem, uznając go w ten sposób niejako za wodza całej armii polskiej. Z tym numerem wpadłem do gabinetu Komendanta i doręczyłem mu go. Komendant odczytał odnośny ustęp z wielkim zainteresowaniem i zaraz podzielił się nowi-
ną z obecnym tam Hutten-Czapskim, reprezentan-
tem rządu niemieckiego przy Radzie Stanu.
- Puście mnie panowie do Rosji - mówił żar-
tem - a zobaczycie, co z tego wyniknie.

Nie przypuszczałem jeszcze wówczas, że w tym żarcie tkwił załazek projektu, który Komendant pragnął wcielić później w życie.

W dobie kryzysu przysięgowego prawie codziennie bywałem w pensjonacie państwa Kwiat-
kowskich, gdzie się Komendant stołował wraz z Sosnkowskim i Sławkiem. Zwykle po obiedzie stykałem się z nim, komunikując mu wiadomości, otrzymywane z różnych stron. Na kilka dni przed aresztowaniem Komendant w żartobliwej poga-
wędce poobiedniej pokpiwał sobie z Szefa (Sos-
kowskiego), twierdząc, że Niemcy powinni go are-
sztować... - Mnie nie ośmielą się chyba ruszyć, ale Szefa zamkną, zobaczycie - mówił.

Przepowiednia ta nie sprawdziła się: Niemcy zamknęli i wywieźli obydwóch - i Komendanta i Szefa.

Wkrótce po aresztowaniu ich, w czas przestrze-
żony, że i mnie czeka to samo, wyjechałem z War-
sawy do Krakowa, gdzie przebywałem aż do ostatecznej likwidacji władzy okupantów na ziemianach polskich, biorąc czynny udział w kierownictwie ruchu niepodległościowego, opierającego się na P. O. W. Wchodziłem w skład Konwentu organizacji A, który był właśnie tajnym, pozapar-
tyjnem kierownictwem ruchu niepodległościowe-

Organizacja ta powstała z inicjatywy Komend-
danta, który uznał, że należy stworzyć dwie tajne organizacje - A i B. Pierwsza z nich grupowała-
by wszystkie żywości lewicowe ruchu niepodległo-
ściowego t. j. jednostki kierownicze i wpływowe
z poszczególnych partyj lewicowych, druga skupia-
łaby analogiczne jednostki z prawicy. Obie grupy nie stykałyby się ze sobą bezpośrednio, ale obydwie podlegałyby Komendantowi, któryby w ten sposób mógł kierować przez A i B całym ruchem niepodległościowym. W tych sprawach „mafijskich”, jak je Komendant nazywał, odsy-
lał on zainteresowanych do Szefa. Aresztowanie jednego i drugiego nastąpiło w momencie, kie-
dy ani A ani B nie przybrały były jeszcze zupełnie

Natomiast organi-
Drogi,

List ten do przesyłamy Radomscy, w nadziei, że tuż po doładowaniu do pockets i po przenoszeniu do góry,

wiadomości wagi błękitnych, które wodzimy dąży, bo zapewne... (dalsze fragmenty listu, niezrozumiałe i niekompletne).

Pozdrawiam z pozytywną wizją, co czeka nas daleko.

Jednorożcy, pod szczegóły. Wysyłamy zawsze odprawy obecne, ponieważ są one poprawne. Poprawiliśmy do 15 łez, a przynajmniej 15 łez w językiem i wiedzą. Poprawiliśmy zasady obecne oraz one, które... (dalsze fragmenty listu, niezrozumiałe i niekompletne).

Pozdrawiam z pozytywną wizją, co czeka nas daleko.

[Podpisanie]

Facsimile listu do L. Wasilewskiego z 26 czerwca 1916
zacjana B, którą miał się zająć p. Staniszewski, zupełnie nie udało się.

Konwent, złożony z szeregu jednostek wybitnych i przedsiębiorczych, występował jako za-
stępczością uwięzionego Komendanta i podjął —

w oparciu o P. O. W. — i przy pomocy partyj
lewicowych, na które miał wpływ — cały szereg
akcji, które wkońcu doprowadziły do rozbroje-
nia okupantów i utworzenia rządu ludowego
w Lublinie. Komwent czynił też, między innym,

kroki w celu uwolnienia Komendanta z twierdzy
magdeburskiej, co się jednak zupełnie nie powio-
dło. Dopiero klęska ostateczna państw central-
nych i rewolucja w Niemczech daly w swych wy-
nikach wolność Komendantowi, którego mieli-
śmy przekazać po jego powrocie uzyskane przez

nas wpływy.

Na początku listopada 1918 r. oczekiwaliśmy
z dnia na dzień powrotu Komendanta. Nadcho-
dziły pogłoski, że Komendant już jest wolny, że
jedzie do kraju, że tego a tego dnia stanie

w Warszawie. Wobec tego wybrałem się z Kra-
kowa do Warszawy, aby go spotkać. Niestety,

nie przyjechał tego dnia, kiedy go oczekwałem,

więc wrócilem do Krakowa, gdzie niebawem do-

wiedziałem się, że Komendant od dnia 10 listo-
pada już jest w Warszawie. Napisalem więc do
niego list, w którym zapowiedziałem mój przyjazd
wraz z propozycją omówienia sprawy utworzenia
takiej instytucji, która by się zaopiekowała kwe-
stjami narodowościowemi i kresowemi w Polsce,
co uważałem za niezmiernie ważne. Liczyłem na
to, że Komendant mnie właśnie powierzy tworze-
nie takiej instytucji, czegoś w rodzaju minister-
stwa spraw narodowościowych.

Stało się jednak inaczej. Kiedy przyjechał do
Warszawy i powitał w mieszkaniu państwa Sta-
mirowskich przy ul. Mokotowskiej zmęczonego i
niewyssanego Komendanta, nie było sposobno-
ści podniesienia interesującej mnie sprawy, bo
na porządku dziennym stały inne, wówczas dale-
ko piłniejsze, kwestje. A w kilka dni później —
18 listopada — zostałem mianowany na wniosek
Moraczewskiego ministrem spraw zagranicznych.

Na tem stanowisku z natury rzeczy kontakt mój
z Komendantem (jak go w dalszym ciągu nazy-
wali jego dawni współpracownicy, powołani te-
raz na najwyższe stanowiska w tworzącym się
państwie) był bardzo ścisły. Widywaliśmy się pra-
wie codziennie, a ponieważ nawał prac nie po-
L. Wasilewski: Józef Piłsudski jakim Go znalazłem
zwalał Komendantowi na ciągłe obcowanie z rzą
dem w całości, przeto umówiliśmy się, że będzie
my jaknajczęściej odbywali posiedzenia czy kon
ferencje we trójkę — on, Moraczewski i ja. I tak
to trwało z małymi przerwami aż do końca ga
binetu Moraczewskiego.

Pobyty w Magdeburgu, w najzależniejszym od
cięciu od tego, co się działo w kraju, nie mógł
nie wytworzyć wielkich luk w informacjach, ja
kie Komendant posiadał. Skarżył się na to nieraz,
rozumując, jak mu to utrudnia działanie.

Zaraz na początku naszych prac państwowych
Komendant wezwał mnie, Moraczewskiego i in
nych członków Konwentu organizacji A na ze
branie, na którym z poza Konwentu był jeszcze
Walery Sławek (ścieżko wypuszczony z więzienia
niemieckiego), który został formalnie do naszego
grona przyjęty. Zupełnie niespodzianie dla nas Komendant wygłosił przemówienie, w którym,
dziękując nam za naszą pracę niepodległościową
podczas jego nieobecności w kraju, podnosząc
ogólnikowo jej doniosłość („niektóre rzeczy prze
prowadziliście wprost wspaniale”) i, ganiąc utwo
rzenie rządu lubelskiego, zwrócił się w końcu do
nas z bardzo ostrem wezwaniem „użycia bicza na

1918 Komendant

samych siebie”. Wezwanie to nie bardzo było dla
nas wszystkich zrozumiałe. Zwłaszcza dotknęła nas
ostra jego forma — tak, że, kiedyśmy się już roz
stali z Komendantem, Moraczewski odezwał się:
— Komendant zupełnie niepotrzebnie to wszyst
ko mówił.

O ile mogliśmy zrozumieć to wezwanie, „bicz
na samych siebie” miał polegać chyba na samo
ograniczeniu się w wysuwaniu daleko idących
postulatów społecznych lewicy, której wszyscy my
właściwie byliśmy wówczas reprezentantami.

Było to niechętnie w związku z planem, któ
ry Komendant nakreślił dla pracy gabinetu Mo
raczewskiego. Gabinet ten miał być w gruncie
rzeczy niejako prowizoryczny. Miał on opracować
ordynację wyborczą na podstawie 5-cioprzymiot
nikowego głosowania i podać się potem do dy
misji, przyczem jego członkowie mieli się rzucić
z całą energią w wir walki wyborczej, aby ewen
tualnie powrócić już do rządu w charakterze
przedstawicieli społeczeństwa, obdarzonych jego
zaufaniem. Tymczasem, aż do zebrania się
sejmu, rządzielby gabinet przejściowy, bez
barwny politycznie, złożony z fachowców ur
żędników, któryby później ustąpił normal-
nemu gabinetowi parlamentarnemu, przypuszczalnie koalicijnemu. Poza opracowaniem ordynacji wyborczej gabinet Moraczewskiego usta-
liłby pewne podstawowe normy: 8 godzinny dzień pracy, zasady ubezpieczeń społecznych. Kwestia rolna miała być odłożona do decyzji sejmu.

Kraj znajdował się wówczas w stanie wrzenia. Z jednej strony Narodowa Demokracja i ciążące ku niej żywioly, niczadowozone z usunięcia ich od władzy, szerzyły ferment antyrządowy w społeczeństwie, najzupelnie zdezorjonowanem i nie-
przygotowanem do bytowania we własnym, dopiero tworzącym się państwie. Z drugiej strony komuniści, zachwyceni przykładem Rosji, dążyli do przewrotu rewolucyjnego, uzyskując wpływy na masy, trapione bezrobociem. Wszystko to wy-
woływało poczucie niepewności, skutkiem czego żyliśmy w atmosferze ustawicznych alarmów. Raz poraz meldowano nam o sprzysiężeniach, przy-
gotowanych zamachach to z lewej to z prawej strony. Przewanżnie jednak nie traktowaliśmy tych pogłosek i meldunków serio. Kiedyś, po otry-
maniu nowego ostrzeżenia, Komendant w rozmó-
wie ze mną powiedział:

Ach, jakby to było dobrze, gdyby tak bol-

szewicy urządzili jakiś zamach na mnie, rzucili bombę czy coś podobnego....

Wyrazilem wątpliwość, czyby to było „dobrze”, na co Komendant z humorem odpowiedział:

– Naturalnie, zamachby się nie udał, ale ja-
kiby to efekt wywołoło zagranicą! Odrazu mu-
sianoby się przekonać, że wszystko, co się mówi o bolszewizmie rządu Moraczewskiego jest głup-
stwem.

Trzeba dodać, że żywioly narodowo-demokra-
tyczne z jednej strony, Czesi zaś – z drugiej jak-
najusilniej szerzyli w opinii państw Ententy to mniemanie, jakoby Piłsudski wraz z całym rzą-
dem – to sami bolszewicy (oraz germanofile), co nam bardzo utrudniało ustalenie normalnych sto-
sunków z Ententą. A to ostatnie było od początku istnienia rządu Moraczewskiego jedną z naj-
większych trosk naszych. Sprawy te omawialiśmy bez ustanku, przyczem powstawały najrozmaitsze projekty załatwienia tego zagadnienia.

Komendant uznawał za nieodpowiednie obsa-
dzanie stanowisk w M. S. Z. przez ludzi, znanych z wybitnie aktywistycznych przekonań w niedalekiej przyszłości. Uważał, że obecność ich w mi-
nisterstwie może być wyzyskiwana przeciwno nam.
przez żywiło nam wrogi z Komitetu Narodowego w Paryżu. Należał wobec tego na mnie w kierunku usunięcia ich (między innymi B. i F.), czemu stanowczo się oparłem.

Komendant od samego początku zajął się oczywicie sprawami wojskowemi, uważając stworzenie armii za podstawową gwarancję istnienia i rozwoju państwa, ze wszystkich stron zagrożonego przez przeważające siły militarne. Jedną z trosk jego była sprawa przysięgi wojskowych miał bowiem pewne obawy, a raczej wątpliwości, czy odbędzie się wszędzie gładko i przywiązywał do tego wielką wagę, uważając, że to uproszczone sytuację i utrwalili rząd. To też cieszył się bardzo z nadchodzących z prowincji wiadomości o pomyślnym załatwieniu tej sprawy.

Posiedzenia rady ministrów odbywały się codziennie, zwykle od 6-tej popołudniu, i trwały nieraz do północy. Przewodniczył z reguły Moraczewski, zdumiewając zebranych nietłoko wyrokiem parlamentarnym, ale i szerokością zakresu kompetencji w najrozmaitszych sprawach. Komendant na radach ministrów nie bywał, ale pozostawał w ustawicznym kontakcie z gabinechem. Moraczewski i ja miewaliśmy codzienne pra-

wie konferencje z nim, na których omawialiśmy sytuację i ustalaliśmy plan działalności na przyszłość.


Tak trwały nasze prace w nasiściejszym porozumieniu z Komendantem aż do pierwszych dni stycznia 1919 r. Nie tu miejsce na szczegółową charakterystykę epizodów tej pracy, zresztą nie nadeszła jeszcze pora na wszechstronne ujawnienie pewnych rzeczy z owych czasów. Ograniczam
się więc jedynie do faktów charakteru osobistego.

Oddawną zapowiedziany zamach prawniczy – doszedł wreszcie do skutku w nocy z 4-go na 5-ty stycznia 1919 r. Dnia tego, jak zwykle, około północy przyjechaliśmy wraz z Moraczewskim – po skończeniu posiedzeniu rady ministrów – do Belwedera. Pozostawaliśmy tam parę godzin, przy czym Komendant zakomunikował nam szczegóły w największej tajemnicy przygotowywanej odsieczy Lwowa. To też pierwszą moją myślą, kiedy nasze auto zostało w drodze powrotnej zatrzymane w Alejach Ujazdowskich przez uzbrojonych drabów, było: Lwów przepadł. Wówczas też przypomniałem sobie, że, opuszczając Belweder, zauważyłem dziwną puszkę w szatni: na szaragach nie było licznych zwykle płaszcz oficerskich. Wywnioskowałem z tego teraz, że Belweder został podstępnie ogłocona z przebywających tam oficerów, i że Komendant może skutkiem tego łatwo wpaść w ręce spiskowców. To też, kiedy nas przywieziono do garażu w Alejach Jerozolimskich, z niepokojem oczekiwałem, że lada chwila wprowadzą tam i aresztowanego Komendanta.

W trakcie likwidacji spisku Komendant pojechał nas szukać jeszcze tej samej nocy i zjawił się w garażu, skąd nas już na krótko przedtem przewieziono do lokalu „Rozwoju”. Tam dopiero rano znalazł nas Berbecki, który po uwolnieniu wszystkich odwiozł nas do Belwedera, gdzieśmy się przywitali z Komendantem, cieszącym się, że nas widzi całych i zdrowych, i że całą aferę udało się zlikwidować tak szybko i gładko.

Zamach styczniowy skompromitował spiskowców i osłabił pozycję narodowych demokratów. Paderewski, wezwany przez Komendanta do Warszawy z Krakowa, dokąd udał się na czas zamachu*, działał uspokajającego na swoich zwolenników. W ten sposób po nieudanym zamachu stano-

*) Komendant nam opowiadał, że kiedy w przeddzień zamachu zakomunikował Paderewskiemu, że stanowczo nie pój dzie na proponowaną mu przez Stanisława Grabskiego kon cepcję rządu (specyficznie przez narodowych demokratów pojmowanej) „koalicji”, Paderewski nagle zbłaszczył, pot mu wystą pił na czoło i był bliski omłodzenia. Komendant to tłumaczył tem, że Paderewski wiedział, iż odrzucenie propozycji Grab skiego oznacza usunięcie gabinetu Moraczewskiego w dro dzie zamachu. To go też skłoniło do natychmiastowego wy jazdu do Krakowa.
wisko naszego gabinetu znacznie wzmacniło się. Na zapytanie Komendanta – co słychać? ja i Moraczewski niezmiennie odpowiadaliśmy: – źle, utrwalamy się! Bo właściwie sprawa naszej dymisji była już przez nas samych wówczas przesądzona: bojkotu finansowego sfer zamożnych nie mogliśmy przełamać, do bicia asygnat nie byliśmy technicznie przygotowani i dalsze nasze po- zostawanie u władzy mogło doprowadzić do nie- wypłacenia na 1-go lutego pensji urzędnikom. Myszy też osobiście byli tak wymęczeni i wy- czerpani nadludzką orką, że dymisja byłaby dla nas wprost fizycznem wyzwoleniem. Kiedyśmy ostatecznie ogłosili Komendantowi naszą dymisję, ten, godząc się na nią, zauważył nie bez mela- cholji:

– A szkoda, już się wszystko jakoś poczęło układać, nawet stosunki z Ententą – i teby się uło- żyły...

W parę dni po dymisji gabinetu zebraliśmy się wszyscy ministrowie w zakładzie fotograficznym Gürtlera na Nowym Świecie, gdzie powstała czę- sto później reprodukowana grupa gabinetu Mo- raczewskiego z Komendantem pośrodku. Na foto-
Kiedy podniósł, że dla ratowania Lwowa musiał – z braku sił – dopuścić do zajęcia przez bolszewików ukochanego Wilna, ły mu stanęły w oczach. Pierwszy (i ostatni) to raz widziałem Komendanta płaczącego.

– Ależ Wilno odbierzemy – powiedziałem.
– Tak, ale co się ono przez ten czas nacierpi odparł Komendant.

Premjerem nowego gabinetu miał zostać Paderewski, który też miał objąć tekę ministra spraw zagranicznych. Co do obsadzenia innych resortów mieliśmy to omówić między sobą i z Komendantem.

W jednej z sal na Zamku odbywały się zarady nad składem nowego gabinetu, w pokoju obok siedział Komendant i czekał na wynik tych narad. Ponieważ otrzymaliśmy zapewnienie, że do gabinetu Paderewskiego nie wejdzie żaden partyjny endek, przeto, kiedy nadeszła wiadomość, że w Łodzi, na pierwszym miejscu sejmowej wyborczej listy endek został Skulski – kandydat na ministra spraw wewnętrznych, powstała kwestia, kim obsadzić tę tekę, bo Skulski stał się niemożliwym. Wówczas Komendant wysunął kandydaturę Stanisława Wojciechowskiego, ale ta propozycja wywołała ostry sprzeciw Tomasza Nocznickiego, który wystąpił z zarzutem przeciwko Wojciechowskiemu, oskarżając go o zbytek bliskie stosunki z endekami w Petersburgu podczas wojny.

Wpadłem do Komendanta z wiadomością o opozycji Nocznickiego. Był tem mocno zirytowany.

Wróciłem na salę obrad i, wzięwszy Nocznickiego na stronę, począłem mu tłumaczyć, że nie ma słuszności, że Wojciechowski obecnie zajmuje zupełnie inne stanowisko, że cieszy się całkowitem zaufaniem Komendanta i t. d. W końcu udało mi się starego przekonać. Cofnął on swój sprzeciw, o czem nie omieszkałem zaraz zawiadomić Komendanta.

Westchnął z głęboką ulgą: nic już nie stało na przeszkodzie utworzeniu nowego gabinetu, do którego weszła prawie połowa członków poprzedniego – bezpartyjnych.
NACZELNIK PAŃSTWA

Kiedy wyjeżdżał do Paryża, Komendant w dłuższej rozmowie ze mną (dn. 6-go II) udzielił mi instrukcji, podkreślając przytem, że mnie, jako zupełnie swojemu człowiekowi, mówi i to, czego nie mówił innym członkom Delegacji. A więc
L. Wasilewski: Józef Piłsudski jakim Go znałem


Plany Komendanta na wschodzie wiązały się z jego koncepcją „Wielkiej Polski”, wymagającą liberalnego traktowania sprawy ziem dawnego W. Ks. Litewskiego i Ukrainy. Tę „Wielką Polskę” przeciwstawił on endeckiej koncepcji „Małej Polski”, nacjonalistycznej, odstręczającej od siebie sąsiadów wschodnich, którzy powinni byli garnąć się ku „Wielkiej Polsce” i skupiać się przy niej jako przy naturalnym protektorze wobec niebezpieczenstwa rosyjskiego.

Mówiąc o paryskim Komitecie Narodowym, zastrzegał się, że my, jako delegacja Naczelnika Państwa, wchodząc w skład tego Komitetu, nie powinniśmy zależeć od niego finansowo. Jesteśmy na specjalnym budżecie tej delegacji, uchwalonym jeszcze za gabinetu Moraczewskiego. Przy tej sposobności zaznaczał, że w Paryżu nie powinniśmy pędzić życia „studentkiego”, ale zachowywać się jak rzeczywista delegacja szanującego swą godność państwa. Mówił też, że punktem honoru Polski będzie jaknajszysze zwrócenie w imieniu państwa sum, które aljanci wydali na utrzymanie Komitetu Narodowego i jego agendy.

Tego dnia, 6-go lutego nocą wyjechałem do Krakowa, gdzie z rozmaitych powodów pozostawałem do 25-go, kiedy wyruszyłem przez front czeski, Wiedeń i Genewę do Paryża, gdzie stanąłem 9-go marca rano i zaraz zostałem wprowadzony przez moich kolegów z delegacji Naczelnika Państwa, przedewszystkiem dra Michała Sokolnickiego, w medias res.
Przebywając w Paryżu, utrzymywałem ścisły kontakt z Komendantem, informując go o sytuacji i o mojej pracy, wysyłając doń raporty i otrzymując odcinek listy z instrukcjami i wiadomościami. Wszędyszy do Komitetu Narodowego brałem udział w jego posiedzeniach, pisząc listy do prasy francuskiej (głównie do „Temps”) i przedewszystkiem zajęłem się nawiązaniem stosunków z delegacjami narodów, ujarzmionych uprzednio przez Rosję, a teraz dążących do utrwalenia własnych państw niepodległych, Estończyków, Łotyszów, Ukraińców, Gruzinów i t. d.


Już w pierwszym swym raporcie (z dn. 3.IV.1919) poinformowałem Komendanta o stanowisku przedstawicieli tych narodowości, na co otrzymał natychmiast odpowiedź, datowaną z Bawarii, 8.IV.1919, która brzmiała:

„Mój drogi!

List Twój otrzymał i bardzo Ci jestem wdzięczny za ciekawie wiadomości w sprawie, która mnie nadziewczej w obecnym czasie zajmuje. Przypuszczam, że w najbliższym czasie będę mógł otworzyć trochę drzwi dla polityki, związanej z Litwą i Białorusią. Znasz moje podejście, w tym względem poglądy, polegające na tem, że nie chcę być ani imperialistą, ani federalistą, dopóki nie mam możliwości mówienia w tych sprawach z jaką taką powagą – no i rewolwerem w kieszeni. Wobec tego, że na bożym świecie zaczyna zdaje się zwyciężać gadańina o braterstwie ludzi i narodów i doktryny amerykańskie, przechylam się z milą chęcią na stronę fe-
deralistów. Podczas pobytu tutaj przedstawiciel ententy tylem nakładł w uszy przedstawicielowi Anglii o sprawach litewskich, że, o ile on będzie miał wpływ na te sprawy, to bodaj będzie to wpływ dla nas korzystny i nie sprzeciwiający się oswobadzaniu naszych kresów od bolszewików. Zwrócił mi jednak uwagę, że główną trudnością do przewyciężenia będą Litwini. Sądzę, że najlepszym środkiem nacisku na Litwinów poza naszym posunięciem się naprzód, byłby nacisk na nich przez Łotyszów. Gdyby Łotysz swoj akces do jakiejs federacji zrobili, nie wyobrażam sobie, aby Litwini temu podwój-nemu naciskowi opórzyć się byli w stanie. Przypuszczam, że i Ameryka i Anglia byłyby skłonne w obecnym czasie do zatwierdzenia takiego paktu i że dawałoby to nam w postaci Libawy i Rygi łatwą rekompen-satę za wątpliwy Gdańsk. Dlatego też naciskając przedewszystkiem na Łotyszów czy przez Estończyków, czy też bezpośrednio. Nie mając nadziei, aby sprawa z Litwinami bezpośrednio w prędkim czasie dala pożądané rezultaty, sądzę, że rozwiązanie dla nas zadania leży przedewszystkiem w pozyskaniu dla idei Łotyszów. Chciałbym, byś mówił o tem możliwie często z Paderewskim, który jest wściekłym federalistą, ale człowiekiem o względnie słabym charakterze, poddającym się wpływom, i bardzo się obawiam, że różne niecnoty imperialistyczne mogą często sprowadzić go z cierniastej ścieżki, prowadzącej do raju federalistycznego. Dobrze byłby więc było, gdybyś go swemi rozmowami podtrzymywał w czynie.

Co do Estończyków, to, chociaż przekracza to ramy pięknego obrazu, którym starał się malować przed oczami zacnego sir Howarda, to nie uważam to zupełne za szkopol. I owszem, im więcej, tem lepiej. Tem bardziej zachęcająco wyglądać to będzie dla naszych kochanych rodaków, których opór i narowy imperialistyczne przełamać trzeba będzie, tem bardziej, gdy szanowni Estończycy odczuwają do Polaków, prawdopodobnie ich nie znając, taką tęsknotę, że gotowi sami propagować idee federacji z nami.

Sprawa ta, powtarzam, jest dla mnie już praktyczną i długotemno prosiłbym Cię bardzo
podwoić energię w tym kierunku. Tymczasem przyjmu serdeczne uściśnienia.

Twój Ziuk.

W II moim raporcie (z 23.IV.1919) poruszylem kwestię, na które zareagował Komendant w swoim liście, przytoczonym niżej i ex-tento. Dla zrozumienia tego listu, podaję odnośne ustępy mojego raportu:

„I. — Sprawy Litwy. Jesteśmy tutaj wszyscy pod wrażeniem zdobycia Wilna. Wiadomość o tym fakcie była tem radośniejsza, że w ostatnich czasach dochodziły nas wieści o energicznym przeciwdziałaniu wyprawie litewskiej ze strony endeków. Szerzę tutaj we wszystkich dostępnych mi sferach konieczność nacisku na aliantów w kierunku ewakuacji Grodna i wogóle usunięcia Niemców z tyłów naszych obecnych. W tym względzie istnieje stanowcze przeciwdziałanie ze strony Litwinów. Paderewski miał wcześniejszym tłumaczyć konieczność tej ewakuacji Balfour’owi, który obawia się... powstania Litwinów w Grodnie przeciwko Polakom na wypadek ustawienia Niemców. Paderewski miał właśnie Balfour’owi tłumaczyć całą idjoityczność tych obaw. W „Journal des Débats” był artykuł o konieczności tej ewakuacji. Biuru prasowemu Komitetowemu dałem instrukcje, aby lansowali w prasie konieczność ewakuacji. Przedwczoraj miałem długą rozmowę z Dr. Lordem z Misji amerykańskiej, który jest najzupełniej wyjątkowym cudzoziemcem, bo jaknajdokładniej zna nasze stosunki kresowe (czyta po polsku i po rosyjsku) i obecnie po powrocie z Polski jest bardzo przychylnie dla nas usposobiony. Otoż, on zapewnił mnie, że ewakuacja Grodna ma być dokonana do 1-go maja...

VIII. Sprawy organizacyjne. — Tu po uchwałe, rozwiązającej Komitet, jest chaos, połączony z obstrukcją dotychczasowych czynników komitetowych. Zatwierdzenie Skrzyńskiego na stanowisku funkcjonującego tutaj wice-Ministra i kierownika Ekspozytury Ministerstwa Spraw Zagranicznych mają być nareszcie wprowadzone jakiś ład. Stąd zatwierdzenie jego jest rzeczą pilną, jak to już radiotelegrafowaliśmy do Ciebie. W sprawach obsadzania placówek zagranicznych jednocześnie wysyłamy list osobny.
W trakcie tego Paderewskiego, nie porozumiewając się ze mną, mianował mię posłem w Jugosławii, zapewne opierając się na tem, że byłem w opinii południowo-słowiańskiej *persona grata*, jako oddawna zajmujący się sprawami serbskimi i chorwackimi i znający język serbo-chorwacki. Ponieważ nominacja ta najzupelniej rozmijała się z mojemi planami, gdyż chciałem w dalszym ciągu zajmować się naszymi sprawami „kresowcami” oraz bałtyckimi, przeto w grzecznym liście do Paderewskiego zrzekłem się poselstwa w Belgradzie i jednocześnie zatelegrafowałem o tem Komendantowi.

W sprawach powyższych otrzymałem list Komendanta, datowany z Belwederu dn. 4.V.1919. Brzmiał on:

„Mój Kochany,
O sprawie litewskiej szczegóły komunikuję Ci w kopii listu do Paderewskiego, z czem proszę Cię bardzo nie wydaj się, bo byłaby to pryncypa do obrazy.* Dalam do tego,

*) Dla lepszego zrozumienia sprawy przytaczam tu ten list Komendanta do Paderewskiego. (pozbawiony końcowej części).
Na miły Bóg! Starajcie się o tę Lotwę i o zacieśnienie z nimi stosunków. Jest to, powtarzam, najprostsza droga do złamania oporu Litwinów. Wyżyszkuj w prasie i w gawędczach fakt poddania się pułku białoruskiego w Grodnie. Może to wzmocni (?) obawy p. Balfoura. Ciekawem jest, że akurat takimi

szerszego po zajęciu Wilna. I Polacy, i Litwini, i Białorusini przy prerkaktacjach z nimi oglądali się jedni na Warszawę, drugi na Kowno lub Mińsk, gdzie wyemigrowała większość ich przedstawicieli. Do żadnej decyzji nie mogłem ich doprowadzić. Wskutek tego zatrzymałem się na rozwiązaniu kwestii takim, któreby nie zamykało drogi w żadnym kierunku. Zapewnilem ogólnokto o konieczności wypowiedzenia się co do losu kraju samej ludności i utworzyłem komisarjatu cywilny, którego pierwszym zadaniem będzie utworzenie właśnie tego wypowiedzenia się. Nie dałem zażadnej obietnicy ani co do miejsca, ani co do formy tego wypowiedzenia się, albowiem przy tak nieokreślonych odpowiedziach, jakie otrzymałem od przed-


ze wzruszenia i radości. Pomimo okropnego wygładzenia miasta ludność wpychała żołnierzom wszystko, co miała do jedzenia. Wszystkie te fakty ku wielkiej mojej radości zawiązały pomiędzy wojskiem a ludnością serdeczny i długotrwały związek. Znacznie gorzej było z Żydami, którzy przy panowaniu bolszewickiem byli warstwą rządzącą. Z wielkim trudem uzyskiwałem pogrom, który wisiał poprostu w powietrzu z powodu tego, że ludność cywilna żydowska strzelała z okien i dachów i rzucala stamtąd ręczne granaty. Odezwę swoją do ludności zakomunikowalem już Panu telegraficznie. Wobec tego, że Wilno samo znalazłem opuszczone zarówno przez Polaków jak i przez Litwinów i Białorusinów, nie mogłem utworzyć czegokolwiek
samemi słowy, grożącymi nam strzelaniem do nas ze strony Białorusinów, grożili Niemcy przed odejściem z Grodna, popychając naszych przedstawicieli do żądań, aby oni, Niemcy, koniecznie ten pułk Białoruski za- brali ze sobą przy odejściu. A gdy to im się

nie udało i pułk zdecydował się zostać i pod- dać się Komendzie polskiej w Grodnie, przysyłano z Kowna telegraficzne rozporządzenia, nakazujące aresztowanie kilku oficerów z te- go pułku. Rozmowy te telefoniczne były

przez nas podслушane i wszelkie zakusy pod tym względem udaremnił. Zresztą nad stosunkami w tym pułku panuję o tyle, że każdej chwili, bez krwi rozlewu, mogę go zmusić do dobrowolnego rozwiązania się. Nie

cje te prowadzili już po moim wyjeździe

robię tego jedynie z powodu, że dobre stosunki z tym pułkiem osłabiają znaczenie i wpływ Taryby. Ale, powtarzam, zarówno w rozmowach, jak i w prasie należy fakt ten wykorzystać.

z Litwy z Gen. Szeptyckim, który wymógł zatrzymanie jakichkolwiek ruchów ich wojsk i przeniesienie pertrakcji do Warszawy. Wobec tego, że ich wojska, zresztą bardzo nieliczne i dość marnie zorganizowane, sto-
ją właściwie pod komendą niemiecką, nie mogą na te ich żądania się zgodzić, a nie chcąc przeszkadzać robieniu frontu przeciwwko bolszewikom na północ od Wilna, dopóki nie zbiorę więcej wojsk na tym froncie, przeciwstawie ich żądaniom swoje, polegają na: a) opuszczeniu przez Niemców powiatów Suwalskiego, Augustowskiego i Sej-
neńskiego, co mi zabezpiecza kolej z Białego-stoku do Grodna i oddaje w ręce polskie powiaty z polską ludnością; b) pozatem linię demarkacyjną chcą mieć taką, by da-
wała w moje ręce Olętna, od Olity na północ szła przez Stokliszki, Żyżmory, Rzeczany (po-

Część Białorusinów uległa koncepcji Litewskiej (jak mnie się zdaje głównie pod wpływem niemieckich narad) i reprezentacji przy Kowieńskiej Tarybie. Białorus okrojono i podzielono przez koncepcję Taryby. Na tej podstawie sformowano właśnie w Grodnie jakieś urzędy Białoruskie, no i pułk piechoty białoruskiej, liczący wraz z 5 czy 6 pułkownikami summa summorum 400 ludzi. Pomimo wszelkiego nacisku Niemców, aby
zadowolony z możliwości Twojej eskapady aż do Belgradu, ale w przypuszczeniu, że jest to zgodne porozumienie, zadepezowałam sankcję do Paderewskiego. Sądzę, że kwestja wywołać pomiędzy temi urzędami i wojewódzki konflikt przy naszym zajmowaniu Grodna, nie udało się to najpierw. Pulk ten Białoruski pozostał w Grodnie, godezując się na to, by podczas swego pobytu w Grodnie był pod konacją Polską, zastrzegając sobie jedynie prawo komunikować się z Kownem, jako ze swoim centrum. Pulk ten przy uroczystościach po zajściu Grodna defilował przed naszym generałem narówni z baonami polskimi. Co się tyczy urzędów, to przedstawiciel ich obecnie przyjechał do Warszawy i zajmuje stanowisko bardzo ugodowe. Jeszcze bardziej ugodowe i kontrnieckie, a zarazem i kontrolitewskie w stosunku do koncepcji Taryby stanowisko zajmują rady białoruskie, a raczej resztki tych rad, które były pod panowaniem bolszewikiem. Żądają one bowiem, by Białorusie nie była podzielona przez nikogo i proszą o po-wobec waszej odmowy odwlecze się i użyjcie teraz wszelkich wysiłków, aby sprawę postawić inaczej.

W sprawie Skrzyńskiego, o której piszesz i telegrafujesz, w zasadzie nie mam nic prze-
moc Polski dla osiągnięcia tego celu. Ten atut przy swoim rozwoju daje się łatwo wy-grywać przeciw litewskimupilom Niemców. Nie trzeba tylko w stosunku do Białorusinów stać na stanowisku tem samem, na jakiem stoi Taryba z tą jedynie różnicą, że do podziału Białejrusi z Rosją stanęliby nie Litwini ani Niemcy, ale Polacy. W całej tej kwestii prosiłem bardzo o jakieś szczegółowe dane co do stanu tej sprawy w Paryżu i do możliwości takiego, czy innego jej rozwiązywania oraz co do kroków, robionych w tej sprawie przez Pana w Paryżu wobec przedstawicieli Ententy. Pomiędzy innemi prosiłem o zrobienie nacisku w Paryżu na to, aby misja Francuska w Kownie w swoim przeciwstawianiu pracy Niemców wśród Litwinów nie obierała fałszywej metody. Mianowicie, doszły do mnie wiadomości, że
ciu temu, ale sądzę, że Skrzyński i Paderewski w Paryżu są to dwa grzyby w barszczu, coby również nie szkodziło, gdyby nie konieczność porządkowania stosunków w M. S. Ż. i uwzględnienia polityki prowadzonej w Paryżu i Warszawie. W tym też dachu pisać należy do Paderewskiego.

Uścisk dłoni Tw. J. Piłsud...

W tymże raporcie (z dn. 23. IV. 1919) zako-munikowaliśmy między innymi o zwróceniu się Estończyków do Delegacji Polskiej z prośbą uznania ich państwa de facto, przyjęcia ich reprezentantów w Warszawie i wysłania reprezentanta Polski do nich. Pisałem: „Do listu swojego dołączali dokumenty ministerstw spraw zagranicznych francuskiego, angielskiego, włoskiego i amerykańskiego...

dla osiągnięcia swego celu Misja Francuska stara się wetknąć do wojsk formowanych przez Niemców z Litwinów możliwie wielką ilość oficerów rosyjskich. Rozumie Pan dobrze, że jest to sposób, sprzeczny zupełnie z naszymi interesami, robiący Litwinów w stosunku do nas bardziej nieustępliwnymi, a zresztą nie ościągający zupełnie celu...

192

1919 Na czelnik Państwa

go, uznańujących Estonię i jej rząd prowizorycznie aż do ostatecznej uchwały Konferencji Pokojowej. Ich prośba sprowadza się do analogicznego żądania wobec Polski. Zadośćuczynienie ich żądaniu obecnie ogromnie by ich ujęło. Niestety, chaos, panujący w tutejszych dykasterjach, zajmujących się sprawami zagranicznymi, nie pozwala na załatwienie tej sprawy. Mówilem o tem parę razy z Paderewskim i Skrzyńskim (Wład.), (ten ostatni nie wiedział, gdzie leży Estonja), złożyłem obydwum specjalnie promemoria i w rezultacie sprawą jeszcze nie jest załatwiona, co utrudnia moje stosunki z Estończykami”.

Sprawy tej już nie spuszczalem z oka, ale ostateczne załatwienie jej nastąpiło dopiero na gruncie krajowym, w Wilnie, przy bezpośrednim współudziale Komendanta. W moim III raporcie paryskim (z dn. 6.V.919) piszę w tej sprawie: „Zapewnił mnie Paderewski, że uznanie ich (Estonii) przez Polskę i wysłanie do nich naszego przedstawiciela jest sprawą w zasadzie załatwioną, ale cóż, kiedy praktycznie nie można doprosić się dokumentu urzędowego, któryby dawał satysfakcję Estończykom. Kładę Ci tę sprawę bardzo na sercu, bo i tak spóźniłibyśmy się mocno, a źle by
było, gdybyśmy przyszli ze spełnieniem żądań Estończyków ostatni."

W trakcie tego w Paryżu decydowały się sprawy pierwszych polskich poselstw zagranicznych. Władysław Skrzyński zaproponował mi do rady przy M. S. Z. (razem z Adamem Tarnowskim i Kozieł-Poklewskim), co nie wykluczałoby mojej „ekstra-
ambasady” finlandzko-estońsko-lotewskiej z siedzibą w Warszawie. Były i inne plany, jak np. jazdy mojej jako kierownika misji extraordinaryjnej do Estonii i Łotwy, na parę miesięcy.

W drugiej połowie maja otrzymałem datowany z 17.V list sekretarza Komendanta, Kazimierza Świtalskiego, który brzmiał:

Szanowni!

Z polecenia Komendanta podaje Wam następujące informacje i instrukcje:

Jak wiecie z pism, w sejmie i w komisji dla spraw zagranicznych pojawiła się cała powódź wniosków nagłych i rezolucji w sprawie naszej polityki na Wschodzie. Endecy kryją swój odwrot tem, że z zasady samostanowienia o sobie ludności, zamieszkującej ziemię b. W. Księstwa litewskiego, robią tylko środek, który ma doprowadzić do zjedno-

Czenia powiatów polskich Litwy z Polską, właśnie drogą takiego nie innego wypowie-
dzenia się polskiej ludności tych okolic. Ostatnie stadium wszystkich sejmowych gdań jest takie, że ma być wypracowany kompro-


misywny wniosek i przedłożony we wтвор na posiedzeniu plenarnym. Oczywiście tego ro-
dzaju wniosek, godzący ogień z wodą, będzie sztuczny, bardzo ogólnikowy i nie będzie mógł stanowić żadnej wyraźnej wytycznej w sprawach polityki zagranicznej.

2. Komendant zaproponował Paderewskiemu, by Was mianował ministrem upolno-

nocnionym na Finlandię, Estonię i Łotwę. Do krajów tych mielibsie za zadanie wy-
słać w charakterze misji specjalnych ludzi odpowiednich, którzy by od Was we wszyst-
kich sprawach, tych wpływach, które by założić tych państw, by-
li zależni. Komendantowi proponowano wysłanie do Łotwy adwokata Sołtana, który w r. 1905 występował jako obrońca w sprawach politycznych i ma z tej racji wśród Łotyszów znaczne wpływy i szacunek. Jodko propono-
je na stanowisko do Estonii Kutylowskiego. Przez wysłanie do tych państw naszych peł-
nomocników Polska tem samem uznalaby ich istnienie i Wasze postulaty, poruszone w tej materii w poprzednich listach, byłyby w ten sposób spełnione.


3. Komendant stale wyczuwa, że Anglia chce odgrywać coraz czynniejszą rolę w sprawach Finlandji, Estonii i Łotwy. Chce ona mieć w sferze swych wpływów tę część wybrzeża bałtyckiego, co zmusza ją do żywego interesowania się i Litwą, jako swemi tylemi. Komendant rozmawiał w tych sprawach z Howardem, który uważał wpływ Polski na tworzenie się jej federacji bałtyckiej za pożądany. Komendant chciałby, byście w tych sprawach pomówili z Howardem*) (wysuwając w tej rozmowie ten argument, że wpływ

*) Ustęp w ( ) skreślony.
Scharakteryzowałem również działalność moich kolegów z Delegacji Naczelnika Państwa – Sokolnickiego, Patka, Sujkowskiego i innych. Z rozmoży tej wyłonili się trzy propozycje co do dalszych prac moich: a) dawna, wznosiona, jazdy w charakterze posła na Łotwę i do Estonii, b) objęcie w Warszawie spraw północnego wschodu, a więc spraw Litwy i państw bałtyckich; c) to samo, ale z siedliskiem w Wilnie.

Komendant kładł nacisk na konieczność jak najenergiczniejszego zajęcia się temi sprawami przedewszystkiem ze względu na zagadnienie stosunku Polski i Litwy. Uważał on, że zwłaszcza zbliżenie z Łotwą (na Estonię kładł mniejszy nacisk) może nam bardzo pomóc przy naciskaniu Litwy w kierunku jej zbliżenia z Polską. Komendant miał jeszcze tegoż dnia mówić o planach, mnie dotyczących, z Paderewskim, przyczem powiedział mi mimochodem, śmiejąc się:

– A wiesz, że Paderewski bardzo Ciebie chwali... 

Nazajutrz przyszła wiadomość, że do Kowna przyjechała delegacja Estonii i Łotwy dla rozmoży z Polakami (sądząc, że Kowno jest w naszych rękach) i że Anglicy czynią jakieś zabiegi w celu utworzenia wspólnego frontu antybolszewickiego z wyłączaniem Niemiec. Wyłoniła się wobec tego propozycja, abym jechał do Kowna dla zasięgnięcia języka. Sprawę tę mieliśmy omówić później.

Dnia 30 lipca Komendant wezwał mię do siebie na kolację, po której mieliśmy mówić o mojej jeździe na Litwę. Do tego jednak nie doszło, bo zaraz po kolacji Komendant mi powiedział:

– Pokażę Ci moją córkę.
– Wiesz, że nie... Bo i jaki byłby los mego syna... Przecież więcej odemnie wykonać by nie mógł... Państwo polskie już jest... A być przez całe życie takim „Władysławem Mickiewiczem” – synem Adama, zawsze wyróżnianym i ściągającym na siebie uwagę tylko tem, że się jest „synem wielkiego ojca” – to przecież los nie do pozzadroszczenia.

Pojechaliśmy tedy autem do Sulejówka, gdzie mi z dumą pokazał małą Wandkę i gdzie znów mogłem powitać małżonkę Komendanta – dawną niezmiernie sympatyczną towarzyszkę „Olę”, którą znałem jeszcze z czasów powołucyjnych i z którą korespondowałem, kiedy, wywieziona z War-
szawy przez Niemców, przebywała w jednym z obozów jeńców w głębi Rzeszy.

W Sulejówku zanocowalem, zaprowadzony do jakiegoś na uboczu położonego pokoiku przez Aleksandra Prystora.

Nazajutrz, zaraz po śniadaniu, ruszyliśmy autem w powrotną drogę do Warszawy.

W drodze powrotnej, kiedyśmy jechali jakimiś bezdrożaźmi przez wilgotne łąki, ogarnęło mnie przeżarzenie na myśl, że, gdyby ktoś chciał wykonać zamach na Komendanta, nie byłoby w owym czasie dogodniejszej sposobności nad uczynieniem tego po drodze do Sulejówek.

W Warszawie dowiedziałem się, że Komendant tej samej nocy ma jechać do Wilna, dokąd i mnie zabierał. O godz. 23 dn. 31 lipca wyruszyliśmy „extrapociągiem Naczelnika Państwa” na północ. Wraz z Komendantem jechał tam święto przybyły z Paryża generał Henrys w towarzystwie dwóch wojskowych francuskich.

Jadąc do Wilna, Komendant był, jak zwykle w tych wypadkach, w świetnym humorze, wesoło rozprawiał o rozmaitych rzeczach i dowcipkował. Między innym żartobliwie tłumaczył w jaki sposób możnaby przenieść stolicę Polski

z Warszawy do Wilna. Oczywiście, odrazu toby się nie dało zrobić, bo, pomijając już tradycje i t. p., kontrast między Warszawą a Wilnem był zbyt wielki. To też należałyby przenieść stolicę na początku do Brześcia i dopiero po dłuższym czasie stamtąd do Wilna. Po Brześciu, oczywiście, Wilno wydałoby się rajem i wszyscy chętnieby się ze stolicą w Wilnie pogodzili.

Po drodze w rozmowic z Komendantem podziewilem się z nim świadzę usłyszana ploteczka, jakoby nasi monarchiści z Eustachym Sapięhą na czele lansowali na króla Polski księcia Artura Connaught, syna stryja królewskiego.

Komendant uśmiechnął się i rzekł parę razy po rosyjsku:
– Etot nomier nie projdiot...

Nocą przebyliśmy większą część drogi wraz z mostem pod Grodnem, skrzypiącym i chwiejąjącym się, co wówczas stanowiło zwykle najbardziej emocjonujący moment podróży w tym kierunku. Kiedyśmy się nazajutrz zbliżali do Wilna, Komendant z wielkim ożywieniem zaznajamiał gen. Henrys’a z topografią okolicy, tłumacząc między innymi dumę ludności miejscowej z posiadania „gór” Ponarskich.
W Landwarowie pod Wilnem byliśmy świadkami manifestacji na cześć Komendanta. Dzieci szkolne śpiewały „Marsz, marsz, Piłsudski!...”, wójtowie wystąpili z chlebem i solą, był transparent z portretem Naczelnika Państwa i napisem „Niech żyje Piłsudski!” Sprawili to Komendantowi wielką przyjemność – ze względu na przyglądających się temu Francuzów.


Dnia 3 sierpnia ja i major Kasprzycki otrzymaliśmy od Komendanta szczegółowe instrukcje w sprawie pertraktacyjnej z rządem litewskim, które mieliśmy prowadzić w Kownie. Za podstawę miała być wzięta koncepcja równoległych wyborów na ziemiach, zajętych tak przez władze litewskie, jak i polskie. Dwie, wybrane na zupełnie identycznych podstawach, reprezentacje dwóch tych terytoriów zjechałyby się w Wilnie i, utworzyszmy wspólny sejm, rozstrzygnęłyby stanowisko prawnopactwowe Litwy i jej stosunk do Pol-

Kap. Brodie (właściwie zanglizowany Żyd kijowski, Broński) po rozmowie z Komendantem podjął się niejako pośrednictwa w sprawie zbliżenia polsko-litewskiego, choć, jak sam mówił, przekraczał w ten sposób swoje kompetencje, bo został przysłany tylko dla zbierania informacji. Ale ryzykował to pod wpływem Komendanta, który, jak się nam zwierzał, wywarł na nim potężne wrażenie, tak, że znajomość z nim zalicza do faktów, które „chciałby mieć wyrytem na tablice marmurowej swego życia złotemi literami”.

Po ukończeniu paru dniowych pertraktacji z rzędem litewskim w Kownie przywróciliśmy z Kasprzyckim do Wilna, skąd tymże „extrapociągiem Naczelnika Państwa” odjechaliśmy do Warszawy.

W kilka dni później powróciłem do Wilna na stałe, jako delegat M. S. Z. i jednocześnie mąż zaufania Naczelnika Państwa do spraw północnego wschodu. Pracowałem w ściśle porozumieniu z kpt. Walerym Sławkiem, szefem II Oddziału armii Szeptyckiego, łącznikiem zaś między nami a Belwederem był pozostawiony w Wilnie jeden z adjutantów Komendanta, Stanisław Radziwiłł. Podtrzymywałem stosunki z Kownem, głównie przez Dunin-Wąsowicza, z Łotwą i Estonią – w drodze korespondencji lub przez przyjezdnych delegatów stamtąd, wreszcie pisywałem dużo do dziennika wileńskiego „Nasz Kraj”, redagowanego przez Piotra Góreckiego, a będącego organem polityki „litewskiej” Komendanta.

Stosunki z Kownem były dość ściśle, a dość szeroko rozgałęzione na terenie kowieńskim tajna organizacja P.O.W. dawała możliwość oparcia powszechnych rachub politycznych na jej sile, zwłaszcza, że rząd Taryby posiadał i w samem społeczeństwie litewskim sporo żywiołów niechętnych, które dążyły do wyemancypowania się z pod przewagi niemieckiej i do zbliżenia się z Polską. Żywiły te liczby na pomoc Komendanta, do którego miały wielkie zaufanie. W tym czasie w Kownie przygotowywał się spisek, który dążył do obalenia germanofilskiego rzędu Taryby między innym przy pomocy P.O.W.

Spisek nie udał się, część spiskowców wycofała
się z imprezy, część, unikając aresztowania, schroniła się do Wilna. Represje spadły przedewszystkiem na organizacje P.O.W. Poarrestowano mnóstwo ludzi, traktowano ich z niesłychanym okrutnieństwem, kurs antypolski zapanował na Litwie i przybrał formy systematycznego tępienia polskości. W Wilnie mieliśmy jaknajdokładniejsze informacje o wszystkim, co się w tej dziedzinie działo w Kowieńszczyźnie, „Nasz Kraj” drukował szczegółowe relacje o aresztowaniach, torturach i znęcaniu się nad ludnością polską. Do Komendanta szyły szczegółowe raporty o tem wszystkim. W rezultacie Komendant stanął na stanowisku, że niepodobna pertraktować z gabinetem, który politykę antypolską uczynił podstawą swej działalności. Wszelkie istniejące dotychczas stosunki półoficjalne z Litwą ustaly.

Siedząc w Wilnie, w dalszym ciągu pilnowałem spraw bałtyckich i rozpoczącej już w Paryżu akcji uznania Estonii i Łotwy de facto. Dn. 26.IX.1919. otrzymałem z Rewła list (datowany 6.IX) od ministra Poski, który naglił w sprawie rozstrzygnięcia sprawy bałtyckich. To też w jednym ze swych listów do Komendanta (z dn. 26.IX) podałem treść listu Poski i pisałem: „List powyższy przekonywa mnie, że niczałatwienie sprawy uznania Estonii, w zasadzie postanowione już i przez Ciebie, i przez Paderewskiego, przynosi nam niepowetowane szkody. Uznanie de facto zostało zrealizowane przez wszystkie państwa Ententy, przez Papieża, święto znów przez państwa Skandynawskie, i nasza obstrukcja staje się już wprost skandaliczną. Uważam obecnie za konieczne, aby sprawa ta została załatwiona albo w drodze radia, albo przez komunikat do prasy polskiej, coby doszło do Rewła, zanimby mianowany na wysłannika tam p. Boufał do Rewła dotarł. Nie wątpię, że Boufał wiezie ze sobą takie uznanie, ale uważam tę rzecz za nader pilną i wymagającą natychmiastowego załatwienia, jeśli nie mamy naszych spraw w Estonii pokpić...”

Wkrótce po wysłaniu tego listu Komendant interweniował w tej sprawie u Władysława Skrzyńskiego i z M.S.Z. otrzymał wiadomość, że, jakkolwiek Boufał nie zawiódł jeszcze do Rewła owego uznania Estonii de facto, to jednak sprawę należy uważać za załatwioną. Kiedy więc Komendant przyjechał znów do Wilna – tym razem na uroczystość otwarcia uniwersytetu – w towarzystwie Władysława Skrzyńskiego, zwróciłem się do
z tą uroczystością Komendant wygłosił w gma-
chu uniwersyteckim wspaniałą mowę. Mówił nad-
zwyczaj płynnie, a ponieważ od czasu do czasu
spuszczał oczy ku leżącej przed nim maciejówce,
przeto wszyscy obecni byli przekonani, że odczy-
tuje swą mowę. Pokazało się jednak później, że
była to improvizacja i że stał się skandal, bo nikt
z dziennikarzy mowy tej nie stenografował, ani nie
notował, licząc na otrzymanie gotowego skrypty.

Po odczynie Komendanta do Warszawy w dal-
szym ciągu informowałem go o sytuacji nad Bał-
tykiem. Około 20 października do Wilna przyje-
chała delegacja łotewska – już druga – tym ra-
zem z ministrem spraw zagranicznych Meierowi-
czem na czele. Jechała do Warszawy, aby – z jed-
nej strony zabiegać o uznanie państwa łotewskiego
de facto, z drugiej zaś – prosić rząd polski o po-
moc przeciwko napaści niemiecko - rosyjskich
wojsk Bermondta-Awałowa, które zagrażały już
samej stolicy Łotwy.

Postanowilem towarzyszyć tej delegacji do War-
szawy, aby i w M.S.Z. i w Belwederze interwen-
jować w obchodzących ją sprawach. Udało mi
się wypożyczyć u generała Malewicza, ówczesne-
go komendanta Grodna, wagon specjalny, któ-
rym przywiozłem delegację lotewską do Warszawy, gdzie zaraz zabrałem się do energetycznego popierania zabiegów Łotyszy – przedewszystkiem w M.S.Z., później u Komendanta.

W M.S.Z. tymczasem nie było już tych trudności; co z uznaniem de facto Estonji. Paderewski zgodził się na podpisanie i wręczenie Łotyszom odpowiedniej deklaracji rządu polskiego, która miała być natychmiast sporządzona. Zalatwiwszy w zasadzie tę sprawę z M. S.Z., zająłem się komunikowaniem delegacji lotewskiej z Komendantem.


Tak się też stało. Popołudniu, na Zamku, Paderewski doręczył Meierowiczowi uznanie Łotwy de facto, przyczem zupełnie niepotrzebnie zastrzegł się, że, o ileby państwa Ententy zmieniły swój stosunek do państwa lotewskiego, to i Polska zmuszona byłaby postąpić tak samo. Nie wywołało to oczywiście dobrego wrażenia.

O 10-iej wieczorem przywiozłem Łotyszów do Belwederu. Komendant przyjął ich w małym pościeli na piętrze w sposób, pozbawiony wszelkiej sztywności oficjalnej. Zasiedliśmy wszyscy przy niedużym stole. Na wstępie została zalażona spawa języka, w jakim miały się toczyć obrady. Wobec tego, że wojskowi, przedstawiciele lotewskiego sztabu generalnego, towarzyszący Meierowiczowi, przeważnie nie znali żadnego języka cudzoziemskiego poza rosyjskim, Komendant zapropnował ten ostatni i począł wypływać gości o położeniu na froncie. Było ono bardzo ciężkie, gdyż zbrojna siła niemiecko-rosyjska zagrażała bezpośrednio samej Rydze, stojąc na jej przedmieściach nad Dźwiną. Łotysze odmalowali sytuację w warwach, odpowiadających rzeczywistości, a więc dość ponurym. Komendant przeszedł odrazu do zasobów broni i amunicji, jakimi Łotysze rozporządzali. Dowiedziawszy się, że posiadają działa i karabiny takiego a takiego kalibru, zaczął wyliczać,
w jaki sposób Polska może te zasoby uzupełnić i wzmocnić. Mówił w ten sposób:

- Mogę wam dać tyle a tyle naboje tego kalibru, tyle karabinów maszynowych, tyle pocisków artyleryjskich, tyle nabojej karabinowych i t.d.

Ponieważ w miarę wyjaśniania się wartości efektycznej tych obietnic, wciąż rosnących, Łotyszów najwidoczniej poczęło ogarniać zdumienie, w pewnej chwili Meierowicz z widocznym wzruszeniem spytał:

- Polska nam daje tyle.... Ale cóż Łotwa może dać wzajemnie?

Przypomniało mi się w tej chwili opowiadanie Łotyszów, że ich sojusznicy, Estończycy, kazali sobie dość słono płacić za wszelkie objawy pomocy, za każdy karabin, za każdą porcję sprzętu wojennego.

W odpowiedzi na pytanie Meierowicza Komendant żywo odparł:

- Aleź przecież Łotwa będzie silniejsza... (Da wiedź Łatwija budiet silnieje...)

Wywarło to na Łotyszach wrażenie nadzwyczajne. Wdzięczna także zły w ich oczach.

Po wyliczeniu wszystkiego, co Łotysze mogą otrzymać od Polski w postaci broni i amunicji, Komendant dodał:

- O ilebyście uzyskali od Litwinów wolne przejście przez terytorium Litwy, bylibym mógł wam posłać pomoc i w formie oddziałów wojskowych... Postarajcie się otrzymać pozwolenie na ich przejście.

Dalszy ciąg tej konferencji przybrał charakter swobodnej pogawędki. Komendant kazał podać wina i wziósł toast na pomyślność Łotwy, czem, jak i wogóle całem przyjęciem, Łotysze byli mocno wzruszeni. Kiedyśmy się znaleźli, po pożegnaniu się z Komendantem, na dole, Meierowicz zwrócił się do mnie z następującymi, dobrze przeznacznymi zapamiętaniemi słowami:

- Ja słyszał, czto wasz Naczelnik Gosudarstwa uowiedzialno obajatelnaja licznost’, no nikogda nie dumal, czto do takoj stiepion... (Słyszałem, że wasz Naczelnik Państwa jest osobistością, wywiejącej dziwny urok, ale nigdy nie myślałem, żeby aż do takiego stopnia...)

Oczywiście, Komendant wszystkich obietnic, danych Łotyszom, skrupulatnie dotrzymał.

Zrzadka wpadając z Wilna do Warszawy, bywał w Belwederze i informował Komendant-
ta o sytuacji na północnym wschodzie. Zwykle bywał w nastroju pogodnym, czasem tylko skarżył się na obstrukcję i sabotaż, z którymi miał do czynienia – Mam wrażenie, że nogi moje są oblepione grząską gliną i muszę je z wielkim trudem z tej gliny wyciągać – tak charakteryzował swoje położenie.

Pewnego razu przy obiedzie Komendant opowiadali żartobliwie, że pewne fery wszelkimi sposobami starały się zbadać, kto właściwie ma na niego wpływ. Dowiedziawszy się o tych zabiegach, Komendant puścił wersję, że na niego wpływ ma tylko „Szef” (Sosnkowski).

Mianowany przez M. S. Z. delegatem na I konferencję bałtycką w Helsingforsie, zanim otrzymałem pełnomocnictwa w ministerstwie, byłem u Komendanta, który w dłuższej rozmowie ze mną, odbytej dn. 31.XII.1919, udzielił mi instrukcji, jakie zaraz potem, powróciwszy do domu, wynotałem sobie w skróbach. Właściwie nie były to w ścisłym znaczeniu słowa „instrukcje”, tylko raczej poglądy Komendanta na sytuację ogólną wschodu Europy z uwzględnieniem tak interesów Polski, jak i jej polityki w dobie, która miała się zakończyć pokojem z Rosją.
L. Wasilewski: Józef Piłsudski jakim Go zamien


Komendant poświęcił wielką uwagę Anglii i specjalnie mi zalecił, abym przy każdym zetknięciu się z dyplomatami i publicystami angielskimi kłódł nacisk, że ta rola, jaką Polska chce odegrać wobec państw bałtyckich, nic tylko nie jest w sprzeczności z interesami angielskimi, ale – przeciwnie sprzyja im, gdyż Polska nad Bałtykiem może być pomocna Anglii w jej polityce.

Po konferencji bałtyckiej, na początku roku 1920 znów na jakiś czas powróciłem do Wilna, skąd wezwano mię do Warszawy w związku z przygotowaniami do pertraktacji pokojowych z Rosją Sowiecką. Minister spraw zagranicznych Patek, z którym kolegowaliśmy w delegacji Naczelnika Państwa w Paryżu i który cenił moją znajomość spraw kresowych i bałtyckich, zaproponował mi stanowisko posła w Estonii, narazie zaś chciał mię użyć do pertraktacji z delegatami poszczególnych państw, którzy mieli przybyć do Warszawy w związku z przygotowaniami pokojowymi. Pokój bowiem miał być zawarty – w myśl kon.
cepcji Komendanta – jednocześnie przez wszystkie państwa, których terytorja w całości lub częściowo należały do Rosji carskiej.

Trzeba też było załatwić i sprawę terytorjów spornych. Między innym chodziło o Białoruś.

W tej sprawie znowu miałem rozmowę z Komendantem, gdyż mnie właśnie polecono przeprowadzenie pertrakcyj z przedstawicielami „rządu” (in partibus) białoruskiego, przebywającego w Mińsku, faktycznie zajmowanym przez władze polskie. Komendant pragnął, aby wymódz na Białorusinach poparcie naszych żądań w zbliżających się pertrakcjach z bolszewikami, szedł na znaczne koncesje kulturalno-finansowe dla Białorusinów, ale wszelkie traktowanie przedstawicieli inteligencji białoruskiej w Mińsku jako „rządu” wykluczał.

W Mińsku prowadziliśmy rokowania w ciągu paru dni i wkońcu wszystkie nasze postulaty, sformułowane przemienności i Władysława Raczkiewicza, zostały przez delegatów białoruskich przyjęte, tak że mogłem zatelegrafować do Belwederu o pomyślnym spełnieniu zleconej mi misji.

Kiedy dn. 29.III.1920 powróciłem z Mińska, po załatwieniu tam sprawy z Białorusinami, do-wiedziałem się od ministra Patka, że pojade wraz z nim do Borysowa w charakterze pełnomocnika podczas konferencji pokojowej z bolszewikami. Projekt ten „starszy pan” zaaprobował z zadowoleniem, jak mi oświadczył Patek.

Najazdutrz, 30.III. byłem u Komendanta – o godz. 4.30, aby mu złożyć osobiście sprawozdanie z pertrakcji z Białorusinami w Mińsku. Kiedy mu zakomunikowałem o tem bezwzględnym zaufaniu, jakie czują do niego reprezentanci Białorusi, powiedział żartem:

– Wiesz, dalipan, jakby mię tu obrano królem, inni poszliby za tym przykładem... Białorusini i inni...

Zapytałem Komendanta o parę spraw, będących w związku z moim wyjazdem do Borysowa: jak stoi sprawa Ukrainy, jakie są plany wobec Białej Rusi, co myśli o ratyfikacji traktatu pokojowego z bolszewikami? Odpowiadał mi na te pytania pokolei:

– Co do Ukrainy, to Ukrainie Rakowskiego (sowieckiej) przeciwstawiamy Ukrainę Petlury i nie będziemy dyskutowali nad tem, która jest prawdziwsza, bobyśmy mogli to robić bez końca. Niech Ukraińcy sami zdecydują. W tym celu
żadam zneutralizowania Kijowa dla zwołania tam konstytuanty z całej Ukrainy w granicach, uznanych przez nas na prawym brzegu, a przez nich na lewym brzegu Dniepru. Ta konstytuantata rozstrzygnie sprawę ukraińską. Co do Białej Russi, to nic im do tego, jak rozstrzygniemy sprawę z Białorusinami. Jeśli chcą, to możemy wnieść do protokołu, że ani czerezwyczajki nie wprowadzimy, ani nie odbierzemy nikomu głosu z powodu tego, że jest burżuazjem, albo proletarjuszem. W sprawie ratyfikacji traktatu pokojowego i połączono go z tem niebezpieczeństwem uznania rządów sowieckich przez nas pierwszych Komendant wogóle wypowiadał się szyderczo. Jesteśmy – mówił pierwsi, którzy uznają rządy sowieckie – i to właśnie wówczas, kiedy te mogą upaść. Tu zapanował w rozważania na temat naszego pokoju z Bolszewikami i powtórzył z całym naciskiem to, co mówił posłowi włoskiemu, Tomassiniemu: – zmuszacie nas do robienia pokoju, będąc sami w dogodnej pozycji. Dla was dziś istnieje Kołczak, jest to jakieś kooperatywy, pojutrze Denikin... Ostatecznie, wam jest wszystko jedno, kiedy dla nas, bez pośrednich sąsiadów Rosji, jest to kwestią wojny albo pokoju. My nie możemy latać za

zygzałami polityki aliantów. Albo zawrzemy pokój serio, albo będziemy bić, bić, bić – aż drzazgi będą leciały.


Na moje pytanie, co Komendant sądzi o szansach pokoju, odpowiedział:

- Nie wierzę w możliwość zawarcia teraz pokoju...

Istotnie, do zawarcia pokoju nie doszło. Zanoszą się natomiast na wznawienie poważnej akcji wojennej. Prowadzono pertraktacje z Petlurą i szykowano się do wyprawy na Ukrainę.

Ję w tym czasie byłem zajęty przygotowaniami do objęcia stanowiska posła w stolicy Estonii, doświadczając w kwietniu wyjechałem. Osiadłoży w Tallinie, nadsyłem stamtąd od czasu do czasu do Belwederu ciekawsze wiadomości, ale mój osobisty kontakt z Komendantem z natury rzeczy rozluźnił się. Zresztą, wypadki, związane z wyprawą kijowską i wszystkimi jej konsekwencjami, wytworzyły sytuację, w której nie było miej-
sca na jakiekolwiek stosunki o charakterze osobistym. Nasza placówka tallińska, leżąca na uboczu, nie odgrywała poważniejszej roli, i Warszawa mało się nią interesowała, zwłaszcza, jeśli chodziło o samo poselstwo. Bardziej było zaangażowane nasze przedstawicielstwo wojskowe, utrzymujące stały i ściśły stosunek ze sztabem generalnym, skąd nadchodziły wiadomości z frontu.

W sierpniu znalazł się w Rydze, a raczej w podryskiej miejscowości kapielowej Bulderi (Bilderlingshof), gdzie odbywała się II konferencja bałtycka. Byłem przewodniczącym delegacji polskiej i w tym charakterze doczekałem się wiadomości o naszej kontrofensywie i pierwszych zwycięstwach. Po skończonej konferencji bałtyckiej powróciłem do Tallina, ale tam już długo nie popasiałem. Ponieważ zanożyło się teraz na rozpoczęcie rokowań pokojowych, przeto napisałem list do Naczelnika Państwa, aby zechciał skorzystać z mojej znajomości stosunków rosyjskich i kresowych.

W odpowiedzi na to zostałem wezwany do Rygi, gdzie miały się toczyć rokowania z przedstawicielami Rosji i Ukrainy Sowieckiej. Wszedłszy do delegacji polskiej, pełniłem swe funkcje tak podczas preliminarzów, jak i przy zawieraniu ostatecznego pokoju, który podpisałem wraz z czterema innymi delegatami Państwa Polskiego.

Podczas pobytu w Rydze znowuż informowałem Belweder o sytuacji, komunikując Naczelnikowi Państwa wszystko, co o tym czy inny sposób mogło ułatwić orientoaniu się w ówcześnie, bardzo zawilnej, sytuacji w Rydze.

Po podpisaniu ryskiego traktatu pokojowego mianowany zostałem przewodniczącym Delegacji Polskiej w Międzynarodowej Komisji Granicznej na Wschodzie, co mię na szereg lat oderwało od Warszawy, gdyż przez cały czas ustalania granicy polsko-sowieckiej przebywałam na terenie mej pracy. Wpadałem do Warszawy bardzo rzadko, wyłącznie służbowo. Rzadko też widywałem się w tym czasie z Komendantem.

Kiedy wraz z Kazimierzem Rożnowskim i pułkownikiem Janem Hemplem (którzy wraz ze mną stanowili prezydium Delegacji Polskiej) wybierał się do Mińska dla rozpoczęcia prac delimitacyjnych, byliśmy u Naczelnika Państwa. W rozmowie z nami kładł nacisk na to, że my, jako jedyna na razie placówka polska, mająca bez-
pośrednią styczność z Sowietami, powinniśmy mieć otwarte oczy i uszy na wszystko, co się dzieje.

W kilka miesięcy później podczas parudniowego pobytu w Warszawie znowu byłem w Belwederze. Naczelnik Państwa rozpytywał mię o warunki pracy delimitacyjnej, traktując dość lekceważąco gruntowność naszych zabiegów technicznych – wszechstronność pomiarów, dbanie o wytrzymałość słupów granicznych i t. p. Widoczne było, że nie bardzo wierzył w trwałość pokoju i przewidywał nową wojnę z bolszewikami.

Ponieważ te przewidywania wojenne nie trafiały mi do przekonania wobec wszystkiego tego, co widziałem w Sowdepji, spytalem go więc wręcz:

Kiedyż, Twojem zdaniem, może wybuchnąć ta wojna?


Kiedy już prace delimitacyjne były na ukończeniu, znowu widziałem się z Naczelnikiem Państwa. Z tej linii, jaką ostatecznie uzyskaliśmy przy stosowaniu linii traktatu ryskiego w terenie, był zadowolony, ale uważał, że pewne miasto, którego tu nie chcę wymieniać, moglibyśmy śmialo zastawić bolszewikom, gdyż nie posiada ono dla Polski żadnego znaczenia. Moglibyśmy je przytem potraktować jako objekt wymienny za te osiedla polskie, które na podstawie traktatu ryskiego w dość pokaźnej liczbie znalazły się poza linią graniczną, a o które prowadziliśmy z delegacją bolszewicką długotrwałe spory wobec nieposiadania przez nas odpowiednich osiedli czy obszarów na wymianę.

Następnym razem byłem w Belwederze wkrótce po uznaniu przez Konferencję Ambasadorów granic wschodnich Rzeczypospolitej (15 marca 1923 r.). Ponieważ uchwała Rady Ambasadorów oparła się na mapie, opracowanej przez naszą Komisję Graniczną na Wschodzie, więc rozmowa toczyła się na temat prac granicznych i stosunków, panujących podczas ich przeprowadzania między delegacjami – polską i sowiecką. Naczelnik Państwa z zainteresowaniem słuchał mojej charakterystyki poszczególnych etapów naszej pracy i wypytywał o wrażenia z Moskwy, skąd wróciłem po podpisaniu tam t. zw. operatu gra.
nicznych, sporządzonego przez obydwie delegacje. Uchwałą Rady Ambasadorów uznał za wielki sukces ministra Skrzyńskiego, z goryczą odzywał się o stanowisku Francji w sprawie uznania naszych granic wschodnich i zaznaczył, iż decyzję w tej sprawie zawdzięczamy Mussoliniiemu, nie zaś Francuzom, naszym sojusznikom. Uchwałę Rady Ambasadorów uważał za doniosłą, zwłaszcza w odniesieniu do Galicji Wschodniej, gdyż zamykała ostatecznie ten okres niepewności, który uniemożliwiał tam stabilizację stosunków. Wskazywał między innymi na fakt charakterystyczny, że dopiero po definitywnym przyznaniu Galicji Wschodniej Polsce ruszyły na tem terytorium pewne większe zakłady przemysłowe (w Zagłębiu Naftowem).

Kiedyśmy rozmawiali na temat prac delimitacyjnych, zakomunikowałem Naczelnikowi Państwa, że opracowuje się szczegółową, dość dużą, mapę, na której mają być uwidoczniione wszystkie miejscowości nadgraniczne po obydwu stronach – polskiej i sowieckiej. Bardzo się tem zainteresował i prosił, bym mu ją dostarczył, jak tylko wyjdzie z druku.

Prace nad tą mapą trwały dość długo, tak, że mogłem ją Komendantowi doręczyć w całkiem już zmienionych warunkach, po jego dymisji ze stanowiska szefa sztabu i wycofaniu się z wojska – w Sulejówku – w lecie 1923 r. Mapa, opracowana w wyniku naszych prac delimitacyjnych przez Ministerstwo Robót Publicznych, była ładna i bardzo spodobała się Komendantowi. Bardzo mi też za nią dziękował.

Ponieważ tego dnia w Sulejówku było kilka osób, które czekały na rozmowę z Komendantem, przeto nie mogłem długo pozostawać z nim sam na sam. Kiedyśmy mieli przejść z jego gabinetu do salonu, spytał mię:

– Cóż, czy ciebie endecy wyrzucili?
– Nie – odpowiedziałem – i tłumaczyłem ten fakt okolicznością, że z powodu specjalnego charakteru moich czynności, związanych ze sprawami granicznymi, byłem niejako na uboczu, więc mało się moją osobą interesowało.

Był to okres słynnych rugów partyjnych w M. S. Z. za czasów ministerstwa Marjana Seydy – rugów, przeprowadzanych, jak fama głosiła, przez Zielińskiego, działacza narodowodemokratycznego, późniejszego konsula polskiego w Berlinie.

Tego dnia zastałem w Sulejówku niejakieg
d-ra Orłowskiego z Ameryki, który był mężem pani Paderewskiego i przyjechał do Komen-
tanta, wrzecomo, aby mu złożyć uszanowanie. 

Komendant, którego w paru słowach poinfor-
nowałem na uboczu, czem jest ów dr. Orłowski, 
wręczył go uprzejmie i z wielkim ożywieniem odo-
iadał o stosunkach... w Tunce, na zesłaniu, przyta-
cając między innymi jakąś długą, nader charak-
terystyczną legendę burjacką o słowianach. Opowia-
danie to zajęło tyle czasu, że dr. Orłowski nie 
miał już żadnej możliwości skierowania rozmowy 
na bardziej go interesujące tematy, wstał i po-
żegnał się, bo musiał jeszcze przed powrotem do 
miasta zwiedzić subsydowany przez Paderewskie-
go przytulek dla starców w tymże Sulejówku.

Po tej wizycie w Sulejówku widywałem się 
z Komendantem tylko przejutnie, głównie z oka-
zji jego odczytów, które miewał na tematy wojskowe – czy to w Towarzystwie Higienicznem, czy w Kamienicy książąt Mazowieckich.

W r. 1924 została sprowadzone do Warszawy 
dawne archiwum londyńskie P. P. S., które po 
zlikwidowaniu ostatecznym placówki partyjnej

w Londynie w 1.1.1905–1907 pozostało tam pod 
opieką znanego bibljofila W. Woynicza. Miało 
oño być wybrane w razie potrzeby instytucji czy 
osobie, która wylegitymowałaby się upoważni-

228

nym 2-ch z pomiędzy 3-ch osób następujących: 
D-ra W. Jodki, Stanisława Wojciechowskiego i 
Józefa Piłsudskiego. Kiedy więc nadszedł odpowiedni moment – już w niepodległej Polsce – aby 
to niezmiernie cenne archiwum przenieść do kraju, zostało to dokonane sumptem Prezydenta Woj
ciechowskiego. Jeden z najstarszych działaczy, 
b. „łonyńczyk”, Aleksander Dębski, pojechał do 
Londynu i przywiózł stamtąd archiwum P. P. S., 
które zostało złożone w Belwederze.

Na wszelki wypadek Komendant miał mi dać 
pełnomocnictwo w sprawie korzystania z mate-
riałów, dotyczących jego osoby, a znajdujących 
się w tym archiwum. Dnia 4 października 1924 r. 
udałem się do K. Świtalskiego, w którego mie-

229

szkaniu Komendant w owym czasie zwykle zatrzy-
mywał się, przyjeżdżając z Sulejówka.

Komendant wydał mi następujący dokument:

„Upoważniam p. Leona Wasilewskiego do 
przeglądnięcia archiwum londyńskiego i do
podjęcia stamtąd w mojem imieniu rzeczy, 
że mną związanych.
Warszawa, dnia 4 października 1924.
J. Piłs.

Był tego dnia widocznie zmęczony, kiedy pod- 
pisywał mi upoważnienie powyższe, ale, kiedy 
go w chwilę potem spytał o zdrowie dzieci, od- 
razu ożywił się i jął opowiadać rozmaite zabaw- 
ne historyjki o swoich ukochanych dziewczynkach. 
Później rozmowa przeszła na inne tematy, prze- 
dewzystykiem na wspomnienia o Tunce i Broni- 
sławie Szwarzem, z którym dłuższy czas tam prze- 
bywał. Prawie godzinę mówił o tem, z humorem 
opowiadając o rozmaitych rysach charakteru i ży- 
cia towarzysza niedoli wygnańczej, którego bar- 
dzo lubił.

Ponieważ Prezydent Wojciechowski zastrzegł 
sobie, aby mu oddać paczkę z archiwum P. P. S., 
zawierającą korespondencję i papiery, dotyczące 
stosunków z Japończykami w r. 1904, przeto za- 
gadnałem Komendanta o tę sprawę, a to, co mi 
powiedział 4. października, zaraz potem sobie po- 
krótko zanotowałem.

Komendant mówił: Zażądałem broni. W Lon- 

230

231


W tym czasie organizowała się akademia ku uczeniu Marji Paszkowskiej, znanej działaczki z czasów, kiedy Piłsudski stał na czele P. P. S., wilnianki i osoby, bardzo zasłużonej, zwłaszcza na

polu pomocy więźniom politycznym, później zaś opieki nad emigrantami politycznymi i ich dziećmi w Galicji. Organizatorom tej akademii bardzo chodziło o to, aby Komendant wziął w niej udział osobisty, więc prosił Panię Marszałkową o interwencję w tej sprawie. Wkrótce otrzymaliśmy odpowiedź przychylną.

Otoż w ową niedzielę udalałem się wraz z panią Stanisławą Woszczyńską do Sulejówek, aby upe- wnić się, czy Komendant przybędzie na akademję, i zaprosić go jeszcze raz osobiście. Czekaliśmy na Komendanta dość długo, rozmawiając z panią Marszałkową. Wyszedł do nas w nastroju dość ponurym, ale obiecał, że przybędzie na akademię. Widać było, że jakieś poważne troski zaprzątały go w tej chwili i że naszą prośbę traktuje zupełnie formalnie...

Było to moje ostatnie spotkanie osobiste z Marszałkiem Piłsudskim.

Kiedy w roku 1929 ś. p. generał Juljan Stachiewicz zakomunikował Marszałkowi, że Komitet Redakcyjny, przygotowujący wydanie jego dzieł, zwrócił się do mnie o zredagowanie pierwszych dwóch tomów „Pism – Mów – Rozkazów”. Marszałek wyraził żąwe zadowolenie z tego. To
też w ostatnich latach stale obcowałem z tworami jego Ducha, czy to redagując poszczególne tomy „Pism – Mów – Rozkazów”, czy też opracowując jego korespondencję z lat dawnych.

Warszawa, 19 maja 1935.

TREŚĆ:

Przedmowa 5
Towarzysz „Wiktor“ 7
„Ziuk“ 57
Komendant 127
Naczelnik Państwa 169